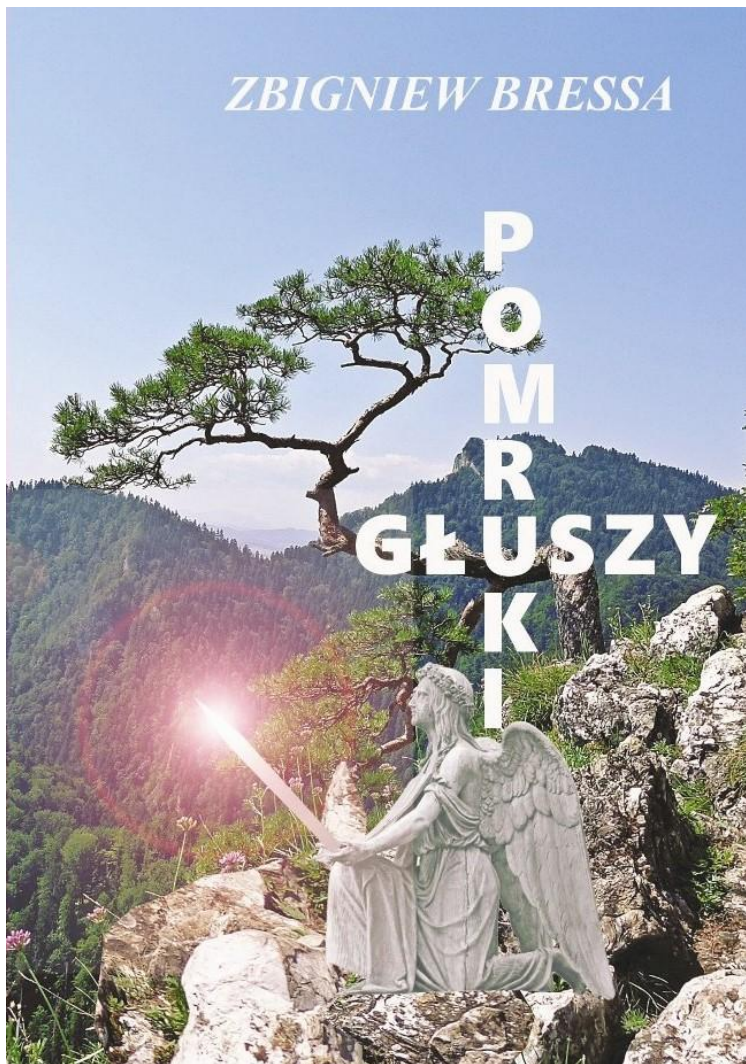


ZBIGNIEW BRESSA

P
O
M
R
GŁUSZY
K
I



ZBIGNIEW BRESSA

POMRUKI GŁUSZY

PACZKÓW 2019

Korekta i redakcja
Monika Mielcarek

Skład i łamanie
Zbigniew Bressa

Projekt okładki
Zofia Bressa

Wykorzystano elementy darmowych zdjęć z pixabay.com

Wydanie I

Pomruki Głuszy

©Copyright 2019 by Zbigniew Bressa

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji zabronione bez pisemnej zgody autora.

ISBN: 978-83-950224-8-7

Zbigniew Bressa »Self Publishing«

zbigniewbressa.com

Paczków 2019

Dotychczasowe publikacje tego autora:

WIBRUJĄCE MOCE (2016)

*

ROZPROSZONE MROKI (2017)

*

U PODNÓŻA SZCZYTÓW(2018)

*

NIEWIDOCZNE CIENIE (2018)

*

CZAS ŻĘCIA(2018)

Fascynujące fabuły. Wartkie akcje.
Egzotyczne scenerie. Nietuzinkowi protagoniści.
Sięgnij po jedną z książek, a zgłębisz
się w mroczne otchłanie ludzkich dusz.

ZAPOWIEDŹ!

W przygotowaniu kolejna powieść Zbigniewa Bressy:

POŚWIATA

Wybucho II Wojna Światowa. Trzyletni Dominik pozostaje sam na świecie. Bez bliskich, krewnych, bez mienia. Wydawało się, że los dziecka jest przesadzony, że wkrótce zostanie starty z powierzchni ziemi. Chłopczyk jednak szybko zaadaptował się do surowych warunków. Z czasem jego psychika została wypaczona, a on sam przeistoczył się w maszynkę do zabijania.

zbniewbressa.com

CZEŚĆ I

1.

W rzesień 1962 roku, Podkarpacie. Pierzaste chmury dryfowały po błękitnej równinie. Płynęły wolno i ocierały się o siebie. Puchate obłoki były lekkie, delikatne, zwiewne. Kształtem przypominały kłębowiska pary wodnej, postrzępioną włóknistą substancję, stadka owiec pokrytych białym runem, ewentualnie kojarzyły się z puszystą watą cukrową. Na tle jasnoniebieskiego nieba szybowały kluczowe żurawi zmierzających w stronę odległych krajów. Długonogie bocki odfrunęły już w sierpniu, co zwiastowało mroźną i śnieżną zimę.

Pajęczce krosna furczały – jedwabiste nici przedły się z kądzieli. Delikatne włókna snuły się nad polami, łąkami i sadami. Babie lato niesione podmuchami zefirka motało się na gałązkach, tworząc puszyste kokony.

Jak okiem sięgnąć ciągnęły się połacie ściernisk, wypłotwiałych łąk i ciemnozielonych lasów. Na poboczach pól piętrzyły się pryzmy kamieni; na miedzach krzewy dzikiej róży stroszyły kolce. Strzeliste topole i wysmukłe sosny kładły długie cienie na torfowej ziemi.

Przez dolinę płynęła rzeka, oplatając odnogami miniaturowe wysepki. San wił się pośród łąk srebrzystą wstęgą i podążał wyłobionym pomiędzy pagórkami korytem. Wzdłuż brzegów cieką ciągnęły się pasy ziemi porośnięte trzciną, olchami i wszelkim zielskiem. Nurt niósł suche gałązki, pożółkłe liście i żdźbła traw. Podmuchy wiatru marszczyły powierzchnię wody. W niektórych miejscach tworzyły się wiry.

Po obu stronach Sanu porozrzucane były chałupy. Do domostw przylegały pastwiska, zagony warzywne i sady. Wiśnie i śliwy wydały już owoce, ale u gałęzi drzew owocowych ciągle wisały grusze i jabłka.

Rolnicy pracowali na polach grupkami. Zbierano ziemniaki, wrywano brukiew i obcinano główki kapusty. Chłopi strzelali z batów i poganiali konie. Lemiesz koparek rozorywały kopczyki i wydobywały smaczne bulwy na wierzch. Kobiety zbierały ziemniaki, a mężczyźni wysypywali je z koszy na wozy. Czasami ktoś uniósł głowę, rozprostował obolałe członki, złapał się za krzyż, wziął głęboki oddech, potarł szorstkie dłonie, by następnie ponownie pochylić się nad rolą. Za plecami pracujących lądowały wrony, poszukujące dżdżownic i pędraków w poruszanej ziemi.

Dzieci znosiły łęty na kupki. Nad stosem suchych badyli unosił się dym, a wiatr rozdmuchiwał spopielałe szczątki. W żarze ogniska piekły się dopiero co zebrane ziemniaki.

W oddali pracował traktor. Polną drogą przemieszczała się furmanka pełna obornika. Koła wozu terkotały na kamienistej drodze.

Orano rdzawe rżyska; wypolerowany lemiesz wskrzeszał snopy iskier na twardym krzemieniu. Gdzie indziej przygotowywano poletka pod siew, a tumany pyłu unosiły się nad bronami. Krowy i owce wygryzały resztki soczystej trawy. Śpiew pastuchów niósł się po ścierniskach, odbijał echem o pagórki i ginął w bezkresnej dali.

Na zagonie Grelów pracowało sześć osób. Gospodarz, gospodyni oraz ich dwie córki. Grupę uzupełniali Mateusz – syn sąsiadki – i Kacper – robotnik rolny. Potocznie mówiło się o nim: „parobek” lub „pachołek”. Pracował u Grelów już dru-

gi rok. Zapewniono mu kąt do spania, wyżywienie i skromne uposażenie. Był trzydziestoparoletnim mężczyzną średniego wzrostu, o piwnych oczach i łagodnym wyrazie twarzy. Mielono jęzorami, że to pies na baby. Widziano go przemykającego do zagród samotnych niewiast; szeptano, że przymila się do gospodyni.

Każdy stał okrakiem nad rządkiem. Kurz przywierał do spoconych ciał, piach wciskał się pod paznokcie, a pył drażnił oczy. Pracując, poobcierali sobie dłonie i odgnietli kolana. Wyszarpowali z ziemi zeschłe badyle i rozkopywali kopczyki; wybierali ziemniaki i wrzucali do koszy.

– Napełnimy wóz i jedziemy do domu! – wydarł się gospodarz.

Przyspieszyli ruchy, wyzwalaając resztki energii z umęczonych ciał. Ela – młodsza córka – słała się na nogach. Jej starsza siostra – Ala – mruzczała coś pod nosem, podczas gdy rumiana matka – Matylda sapłała jak locha.

Kacper pomyślał: „Rogacz! Przybłęda! Wżenił się w bogatą rodzinę i udaje pana”. Mężczyzna pracował za gospodynią i raz po raz rzucał łakome spojrzenia na jej przysadzisty tyłek.

– Zbierajcie dokładniej! Popatrz, o tam – zwróciła się Matylda do Ali, wskazując na pozostawionego ziemniaka.

Dziewczyna obrzuciła ją nienawistnym wzrokiem.

– Pouczasz innych... lepiej spójrz za siebie – odfuknęła zgryźliwie.

– Nie bądź harda! Nie pyskuj, smarkulo! Nadciąga sroga zima, każda bulwa droga – pouczała matka.

Rozległ się melodyjny dźwięk. Dzwon kościelny wzywał do modlitwy i wypoczynku. Metalowe serce uderzało w czaszę, kruszyło twarde serca człowiecze, skłaniając do zadumy

i refleksji. Ludzie czynili znak krzyża na czole i szeptali pacierze; ku niebu popłynęły gorące słowa modlitwy.

Różowy ogrom słońca chował się za Graniastym Kamieniem; złociste promienie muskały odwalone skiby. Zapadał wieczór; zmierzch przemieniał się w mrok; ciemność wypełniała wszelkie zakamarki i szczeliny. Wieś tonęła w szarówce; chałupy rozmywały się w czerni.

Ludzie schodzili z pól; pełne wozy podążały po wyboistych drogach; bydło porykiwało i kierowało się do obór.

2.

Biedola – rozproszone sioło, dom od domu daleko. Ubogi jak cały region. Ziemia jest tutaj marna, a klimat surowy. Do sołectwa należą przysiółki Dolinki, Łąki, Kocaby, Łazy i Debry. Nie ma tu ani knajpy, ani porządnego sklepu. Nad wioską wznoszą się szczyty: Majkowa Góra, Graniasty Kamień, Przysłup i Paproć. W oddali rysuje się garbaty krajobraz z górskimi przesmykami. Zbocza gór porastają lasy. Strome stoki przecinają strumyki spływające wyżłobionymi korytami w dół zboczy.

Do przysiółka Kocaby prowadziła nieutwardzona droga. Odgałęziający się do domu Grelów wyboisty odcinek pokryty był kurzem, a jak nie kurzem, to błotem.

Dostępu do zagrody broniła brama zbita z nieheblowanych desek. Za oborami ciągnęła się podmokła łąka, która wżerała się jak liszaj w zielony zagajnik. Sad i ogródek warzywny otaczały walące się płotki. Chałupa była zbudowana z ociosanych sosnowych bali. Potężne kłocę połączone były na zrąb. Dach gontowy opierał się na dźwigarach. Drzwi frontowe domu wychodziły na podwórze, a okna – na rabaty kwiatowe.

Zagroda miała kształt czworoboku. Budynki gospodarze ciasno do siebie przylegały. Zabudowania popadały w ruinę, stodoła nie miała wrót, a pomiędzy kurnikiem i drewnutnią wyrosły kępy pokrzyw i ostów. Przed stajnią wznosiła się hałda gnoju. Przez środek podwórza płynęła gnojowica. Roje much krążyły w powietrzu, kury rozgrzebywały gnój, kaczki taplały się w kałużach, a gęsi skubały lichą trawę. Przy oborze w górę piął się drewniany słup, na którego zwieńczeniu gniazdo uwiły bociany. Obecnie legowisko było puste – czerwono nogie ptaki odleciały do Afryki.

Pod ścianami budynków przykucnęły krzewy agrestu i porzeczek. Za ogrodzeniem ciągnął się rów, wzdłuż którego rosły przygarbione wierzby. Korzenie drzew wczepiły się w gąbczastą ziemię; ze szczelin i otworów w splekanych pniach sypało się próchno.

3.

Upstrzona żarówka zwiślała u powały i mdłym światłem rozjaśniała wnętrze. Na sękatych ścianach wisały folkowe malowidła. Po kuchni krzątała się Matylda. Gospodyni rozpałała w piecu, postawiła żeliwny rondel na rozgrzanym blacie i wrzuciła do niego pokrojony boczek. Poćwiartowała ziemniaki i umieściła je na rozgrzanym tłuszczu. Zaskwierczało i buchnęło parą.

Nadjechał gospodarz z Kacprem. Wóz pełen ziemniaków zatrzymał się przed domem.

– Przynies mi drewna! – krzyknęła gospodyni do parobka.

– Podwijam spodnie i lecę! – odkrzyknął i pobiegł do drewnutni. Wyglądał komicznie w podkasanych gaciach.

Grela rozkiełznał konia, wprowadził go do stajni i pogłaskał po chrapach. Ujął w dłoń wiecheć słomy i wytarł boki Siwki. Przy źlobie stał źrebak i grzebał kopytem w ściółce. Gospodarz podszedł do konika i potargał go za grzywę.

– Zjadłbyś coś, wałkoniu? Zaraz sypnę ci obroku – wymruczał i klepnął go w zad.

Kacper przyniósł naręczce polan i widząc, że nikogo nie ma w pobliżu, szepnął coś do ucha gospodyni. Matylda oblała się rumieńcem. Strach walczył z pokusą. Rozmywała się ulotna granica pomiędzy uczciwością a grzechem. W jej głowie wiroowało. Serce biło przyspieszonym rytmem. Dreszcze na wskroś przeszywały ciało. Przyjemne ciepło rozchodziło się od skroni aż do pięt. Jej dusza tęskniła za czymś, co nigdy się nie spełni.

– Idź już, bo ktoś nas zobaczy – zrugwała mężczyznę i odepchnęła go od siebie.

– Tu jesteś, darmozjadzie! Zgłodniałeś?! Szperasz w garach?! Wynocha! Wyczyść chlewy i podrzuć świniom słomy! – wrzasnął gospodarz na parobka, wchodząc do kuchni. – Co pichcisz? – zapytał łagodniej żonę.

– Ziemniaki z boczkiem i cebulką.

– Przegryzę coś niecoś przed kolacją, bo kiszki mi marsza grają.

Siostry uwijały się w obejściu. Starsza o dwa lata Ala zagoniła drób do kurnika i nakarmiły świnię; Ela napoiła krowy, a owcom rzuciła siana.

W piecu trzeszczały sosnowe polana. Przez szczelinki w drzwiczkach wyskakiwały złociste iskierki. Zapach smażonego bekonu, cebuli i jajecznicy rozchodził się po kuchni. Przyjemna woń drażniła nozdrza.

Matylda nakładała jedzenie na talerze. Gospodarz usiadł u szczytu stołu, mając po obu stronach córki, a naprzeciw żonę. Kacper usadowił się na ławie przy piecu. Oparł się plecami o kafle i żarłocznie pochłaniał omaszczone kartofle. Jedli w milczeniu. Słyszał tylko stukot sztućców, mlaskanie i chlipanie. Konsumowali ziemniaki ze skwarkami i sadzone jajka. Popijali maślanką. Ocierali usta wierzchem dłoni. Bury pies i czarny kocur łąsiły się o nogi jedzących.

– Wynocha! – wrzasnęła Matylda. Morus spojrział jej w oczy, ale nie znalazłszy litości, podkulił ogon i opuścił kuchnię. Kot o wdzięcznym imieniu Cezar czmychnął pod stół.

– Ziemniaki obrodziły. Jak Bóg da, uchwamy parę wieprzków przez zimę – ogłosił entuzjastycznie gospodarz. – Czeka nas jeszcze nawał pracy. Musimy wykopać resztę kartofli, wybrać buraki, zerwać kukurydzę, wywieźć obornik i zaorać ścierniska. Kiedy ja się wyrobię?! – Złapał się za głowę.

– Nie jęcz! Do orki najmiemy traktor. W piątek pojedziemy na targ. Sprzedamy byczka i ziemniaki. Za pozyskane pieniądze kupimy meble do pokoju stołowego – zdecydowała Matylda.

– Nie mam zamiaru trwonić pieniędzy na twoje zachcianki! Kupimy prosięta, podtuczymy je i sprzedamy na wiosnę – oponował Grela.

– Po moim trupie! Mieszkamy jak w chlewie! – warknęła żona. Na jej twarzy ukazał się wyraz zacierzwienia. Oczy ciskały gromy; policzki gorzały. Wściekłość dodawała jej urody.

Kacper oblizał spieczone wargi i pałającymi oczami wpatrywał się w gospodynię. Cieszył się w duchu, że tak łatwo zgasła męża.

Grela poderwał się z krzesła i walnął łyżką w stół.

– Nażryj się, niech ci jadło utknie w gardle! Mądrała! Wielka pani! Hrabina! – wykrzyknął i wybiegł z kuchni.

Po chwili usłyszeli gruchot zsypywanych ziemniaków.

– Narwaniec. Nie przejmujcie się nim. Za chwilę ochłonie – powiedziała gospodyni, spoglądając na córki.

Była rozczarowana postawa męża. Narzekał albo milczał. Żałowała, że przed laty okazała mu miłosierdzie. Przyplątał się pod koniec wojny i pomagał ojcu przy żniwach. Miał żałosny wyraz twarzy. Był wychudzony jak pies, żebra sterczały mu spod koszuli. Żal jej się go zrobiło. Zrobili to na sianie. Jak pech, to pech! Zaszła w ciążę i obawiając się ludzkich jeźorów, wyszła za mąż za fajtlapę.

Heniek od lat nie okazywał jej zainteresowania. Nie dbał również o siebie. Śmierdział obornikiem, bimbrem i piwskim. Po co jej taki mąż?! Życie z nim z czasem stało się monotonne, płytkie i bezcelowe. Nic jej nie cieszyło. Gotowanie, sprzątanie, pranie... Nuda! Wiedła jak wrażliwy kwiatusek na pustyni. Czytała więc z wypiekami na twarzy romanse. Wręcz pożerała pikantne treści, wzdychając i łapiąc się za serce. Flirty, przelotne miłostki, schadzki i zdrady. Pragnęła podobnych wrażeń: gwałtownych wstrząsów i upojnych doznań. Chciała w uniesieniu drapać i gryźć. Wić się w konwulsjach, zatracić w ekstazie. Była kobietą i tak jak inne przedstawicielki płci pięknej oczekiwała adoracji ze strony mężczyzn, spacerów przy blasku księżyca, namiętych pocałunków i pieszczot.

Niech to szlag trafi! Znalazła się w pułapce. W sytuacji bez wyjścia. Pora zatem powrócić do rzeczywistości. Robota czeka! Złapała za szmatę i udała się do obory, żeby precedzić mleko.

Dziewczyny posprzątały kuchnię. Ala starła stół i zamiotła podłogę. Ela włożyła talerze i gary do emaliowanego wiadra. Z odrazą zanurzyła dłonie w mętnej wodzie. Nienawidziła mycia tłustych, przypalonych naczyń.

Po skończonej pracy młodsza córka podążyła do swojego pokoiku. Bolała ją każda kosteczka. Powieki same się zamykały, a musiała jeszcze odrobić lekcje. Rozmyślała. Szkoła, harówka w obejściu i polu. Kierat bez końca. Sadzenie ziemniaków, sianokosy, żniwa, wykopki, dojenie krów, szorowanie garów... Chętnie także pomagała w kościele przy okazji różnych wydarzeń. Jak długo tak można?! Gdzie w tym zabieganiu znaleźć czas dla siebie?

Odrobiła lekcje, uklękła przed obrazem Matki Boskiej i zmówiła pacierz. Następnie rozebrała się i położyła do łóżka.

Zapadła noc. W chałupach pogasły światła. Cykady cykały, psy szczekały. Zza ciemnych chmur wychylił się sierp księżycy, rzucając bladą poświatę na zroszone świerki. Wianuszek gwiazd przeglądał się w głębinach stawów. Pola, łąki i lasy okrył czarny całun. Dzień zasypiał otulony puszystymi mgłami i gęstym mrokiem.

4.

Nad Sanem wstawał nowy dzień. Niebo pokryło się ołowianymi chmurami. Wiało, chłód wdzierał się w każdą szczelinę. Drzewa gięły się we wszystkie strony. Wiatr targał

krzakami i kwiatami, które wykonywały szaleńczy taniec przed zbliżającym się deszczem. Pożółkłe liście odrywały się od gałęzi, kręciły piruety w powietrzu, po czym opadały na ziemię.

Ela maszerowała dziarsko do szkoły z okazałym tornistrem na plecach. Mijając zagrodę sędziego Korbla, powitała go skinieniem głowy. Pochłonięty pracą staruszek nie odpowiedział na pozdrowienie. Mężczyzna jedną ręką pompował wodę, a drugą trzymał się za plecy. Napełnił wiadro i poniósł je do stajni z grymasem bólu na twarzy. W tym samym czasie Ela przekroczyła drewniany most nad Sanem. Poniżej konstrukcji płynęła mętna woda.

Nastolatka przeżywała rozterki. Dręczyły ją dylematy. Była w ostatniej klasie szkoły podstawowej. Za kilka miesięcy skończy naukę. Pytanie brzmiało: co dalej? Nie ma co się oszukiwać. Jeżeli ugrzęźnie pośród mokradeł, lasów i lichej ziemi, to nigdy się stąd nie wyrwie. Kocaby to zapadła dziura – raptem pięć drewnianych chałup. Nikt nie posiadał telewizora, samochodu ani traktora. Tylko rodzina Zarembów mogła pochwalić się motorem.

Zdawała sobie sprawę, że wkrótce wkroczy w świat dorosłych, pełen wymyślnych zasadzek. Po chwili namysłu doszła do wniosku, że da sobie radę! Będzie liczyła wyłącznie na siebie i tylko siebie będzie winała za niepowodzenia i podjęte decyzje, jeśli okażą się błędne! Musi zatem zrezygnować z parasola ochronnego rodziców i rozpocząć podróż w nieznanie.

Jej matka kochała kwiaty. Sadziła je gdzie popadło. Czasami bez ładu i składu. Zbierała w zbożu chabry, maki i su-

szyła je. Bukiety i pęki ziół wieszala na wbitych w krokwie gwoździach.

Z kolei ojciec grał na organkach. Czasami siadał na ławce i wdmuchiwał w blaszany instrument utajone żale. Z harmonijki wydobywały się tęskne tony, przywodzące na myśl bezsilność. Melodia wibrowała w powietrzu, dźwięki wznosiły się i opadały jak fale oceanu. Nigdy nie podnosił głosu. Butelkował smutki. Godził się na poniżenia.

Siostra praktykowała u krawcowej. Potrafiła już uszyć spodnie, sukienkę i żakiet. Jej przyszłość jawiła się w różnych barwach. Pracowała i odkładała każdą złotówkę.

Ela spostrzegła, że potajemnie spotyka się z chłopakiem z sąsiedztwa. Pewnego dnia znalazła w jej pokoju list miłosny pisany wierszem i nieprzyzwoite fotki.

Młodsza Grelówna od dziecka była wścibska i wiedziała o wiele więcej, niż innym się wydawało. W tajemnicy uplotła drabinkę z lin konopnych, dzięki której wymykała się z pokoju i podglądała członków rodziny. Nastolatka potrafiła wytrychem otworzyć najwymyślniejszy zamek. Przeglądała dokumenty i szperała w cudzych rzeczach. W ekspresowym tempie odkryła, gdzie matka chowa przed ojcem pieniądze, a ojciec przed matką zaskórniaki i alkohol.

Odkąd sięgała pamięcią, rodzice zawsze się kłócili. Czasami sprzeczki budziły ją w nocy. Słyszała krzyki matki i wyzwiska ojca. Oboje wytykali sobie rozrzutność i niegospodarność. Dochodziło do przepychanek i szarpanin. Największa przykrość spotkała Elę, gdy pewnego dnia podsłuchiwała scysję rodziców. Matka wymawiała ojcu, że jest oferumą, a ich młodsza pociecha nie jest jego córką. Przeżyła wtedy szok. Poczula

się jak bękart. Miała nadzieję, że były to jedynie wypowiedziane w złości kłamstwa.

Matka w przyływach uniesienia przytulała ją do piersi, a przy atakach wściekłości okładała miotłą. Któregoś dnia nazwała ją „wyskrobkiem”, innego – „dzieckiem z pękniętego kondoma”. Zaboląły ją te słowa. Palily tak, jakby rozpalone do czerwoności żelazo przywarło do jątrzącej się rany.

Raz podążyła za matką i schowała się w części stodoły, w której składowało się słomę. Przykucnęła za przepierzeniem ze spaczonych desek i przez szparkę obserwowała Matyldę. Ku jej zdziwieniu rodzicielka usiadła na wiązce słomy, zdjęła buty, a Kacper masował jej stopy. Mężczyzna skomlał jak pies. Całował matce kostki, łydki i kolana. Matylda wzdychała, a na jej twarzy odmalowywała się ekstaza. Z ust wydobywało się kwilenie. Ela była pewna, że te odgłosy miały związek z seksem. Trudno było się pomylić. Ogarnęło ją zażenowanie i bezsilna wściekłość.

„Czas powrócić do realnego świata” – pomyślała, odganiając wspomnienia. Minęła dworek. Obecnie w zabytkowym budynku mieściły się biura spółdzielni. Posesję otaczało ogrodzenie z metalowych prętów. W oddali rysował się budynek stacji kolejowej. Po lewej stronie wznosił się kościół. Naprzeciwko przybytku bożego znajdowała się plebania i sala katechetyczna. Przed świątynią wyróżniał się klomb pełen begonii, lewkonii, astrów i wrzosów. Kwiaty były wspomnieniem lata i zwiastunem zbliżającej się zimy.

Ela miała problemy z przedmiotami ścisłymi. Zwłaszcza fizyką i chemią. Starala się, jak mogła, ale nie miała czasu, aby solidnie przyłożyć się do nauki. Przyjaźniła się z Kaśką. Siedziały w jednej ławce. Zwierzały się sobie nawzajem

z sekretów, plotkowały i obgadywały rówieśników. Koleżanka pochodziła z zamożnej rodziny; mieszkała w murowanym domu w przysiółku Dolinki.

Kiedy pierwszy raz odwiedziła Kaškę, poczuła się nieswojo. Nie pasowała do tego miejsca. Obrót o sto osiemdziesiąt stopni. Ciepło, czysto i przytulnie. Na podłogach ściełły się puszyste dywany, całość uzupełniał telewizor, pralka, bieżąca woda i centralne ogrzewanie. Koleżanka nie miała pojęcia, co to harówka. Nic jej nie obchodziło. Nie musiała gotować, sprzątać ani zmywać naczyń. Matka podtykała jej jedzenie pod nos. Ojciec woził samochodem do kina i teatru. Ubierała się modnie, miała delikatne dłonie i wypilowane paznokcie. Po ukończeniu szkoły podstawowej zamierzała kształcić się w liceum. Jakże Ela jej zazdrościła! Jakież ten świat jest niesprawiedliwy! Niektórzy już na starcie są na uprzywilejowanej pozycji!

Wracała ze szkoły. Mżyło. Krople deszczu zmoczyły jej włosy i zrosiły lica. Zmarzły jej dłonie i zsiniały wargi. Otuliła się kurtką, a na głowę naciągnęła kaptur. Szła zatopiona w ponurych myślach. Zgrzytała zębami z bezsilności. Wstyd! Tak nie można! Dzisiaj znowu wbiła wzrok w podłogę. Nie miała odwagi spojrzeć nauczycielom w oczy. Nie odrobiła zadania z geografii i dostała dwóję z dyktanda. Kaška (zołza!) zasłoniła kartkę dłonią i nie dała nic podglądać. Na dodatek higienistka zarzuciła jej, że ma brudne uszy i szyję.

Nagle jej rozmyślania zostały brutalnie przerwane. Z nadrzecznych krzaków wyłonił się starzec. Szedł zgięty, podpierając się kijem. Przez ramię miał przewieszoną skórzaną sakwę, na grzbiecie parczany plecak, a u szyi zwisał mu róża-

niec z krzyżem, wykonany z nawleczonych na drucik paciorków.

Wędrowiec spojrział na nią mętnymi oczami. Jego twarz była pomarszczona jak zeschnięty kartofel. Czoło pokrywały głębokie bruzdy. Spod czapki wystawały kosmyki mleczno-białych włosów.

– Nie bój się mnie, dziewczynko. Nic ci nie zrobię. Obyś nigdy nie znalazła się w podobnej sytuacji. Syty głodnego nie zrozumie. Ludzie traktują mnie gorzej niż trędowatego. Przeganiają i szczują psami. Wracam z pielgrzymki. Poratuj mnie pieniążkiem – prosił, wyciągając dłoń.

– Nie mam! Nie dam! Proszę mnie zostawić! – krzyknęła przerażona i przyspieszyła kroku.

Ogarnął ją paraliżujący strach. Pomyślała, że natknęła się na zboczeńca. Wyobrażała sobie, że mężczyzna pochwyci ją i zgwałci.

Obejrzała się za siebie. Dziad podążył pełną dróżką w stronę lasu.

5.

Matyldę odwiedziła matka. Kobieta dokonywała „inspekcji” – wsadzała nochal w każdy zakamarek.

– Gdzie jest ten dziadyga? – zapytała. Nie akceptowała wybranka córki.

– Pojechał kopać ziemniaki z Kacprem.

– Biednie tu u was. Gospodarze z bożej łaski. Powalone płoty, środkiem podwórza płynie gnojowica, w oborze wali się sufit, na stodole brakuje dachówek... – wyliczała.

– Ostatnie wichury narobiły szkód. Nie zmienimy ruin w pałac jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – tłumaczyła się Matylda.

– Jak dorwiesz się do pieniędzy, to szastasz nimi na prawo i lewo. Po co ci tyle ciuchów? O, laboga... tuzin par butów. Popamiętasz moje słowa – skończycie w więzieniu. Raty kredytu i podatki płąćcie w terminie! Sołtys na was narzeka. Komornik nachodzi ojca. Pola zarastają chwastami. Trzymaj w garści tego pijacynę, to byle co, to zero! Po co wam parobek?! – narzekała, aż uszy puchły.

– Kacper nas nic nie kosztuje. Płacimy mu grosze. Zje coś, prześpi się w stajni; czasami kupię mu tytoń i jakiegoś ciucha. Gdzie ma się podziać, sierota?

– Samarytanka się znalazła. Wszystkich żałujesz. Twoje rodzeństwo wyszło na ludzi, a ty...? – zawiesiła głos.

– Czepiasz się o byle co! Wcześniej urodziłam dziecko. Haruję jak wół. Trzymam kaczkę, gęsi i nioski – wyrzuciła ze złością.

– Posłuchaj rady mądrzejszego. Utucz drób, utnij łeb, oskub i sprzedaj. Ciulaj grosz do grosza. O tobie też krążą niepochlebne wieści. Przynosisz wstyd rodzinie. Ludzie wszystko widzą, słyszą i mają długie jęzory. Zdaję sobie sprawę, że wyszłaś za oferę, ale żeby... – zawiesiła głos, mierząc ją surowym wzrokiem.

Matylda zeszywniała.

– Bajki! Wyssane z palca bzdury! Wierzysz plotkarom? Niewyparzonemu jęzorom?! Siedzi taka jedna na tłustym dupsku przy oknie, nażre się do syta, nie narobi, ale wszystkim się interesuje. Zazdroszczy mi urody i tyle – odwróciła kota ogonem.

– Twój mąż to gospodarz od siedmiu boleści – biadoliła matka.

– Stara się, jak może!

– O, laboga! Jeszcze go bronisz! Mój Boże! To do ciebie podobne. Oboje jesteście tacy sami – machnęła ręką.

„Idź już, idź, bo nie wytrzymam! Palnę cię tłuczkiem w łeb, zadżgam nożem lub dojdzie do mordobicia” – gotowało się w Matyldzie.

Wkrótce po wizycie matki Matyldy, na podwórzu pojawili się gospodarz i Kacper. Przyjechali zmoknięci i umazani błotem. Heniek zrobił żonie karczemną awanturę. Wyrzucił jej, że zostawiła w polu motyki, których nigdzie nie mogli znaleźć. Kopali ziemniaki szpadlem, a ziemię rozgrzebywali dłońmi.

Narzekał i wrzeszczał. Obiad nie był gotowy, a on umierał z głodu. Tłumaczenia żony, że odwiedziła ją matka, tylko pogorszyły sytuację. Nie cierpiał teściowej. Na domiar złego jego ukochany czterolitrowy aluminiowy czajnik był pusty. Kupił go przed laty i za nic na świecie nie pozwoliby go wyrzucić. Miał na jego punkcie bzika i pilnował, aby zawsze był napełniony wodą.

Matylda wyciągnęła z kredensu półlitrówkę i nalała do szklanki sporą porcję wódki. Greła wypił jednym haustem. Gospodyni przyniosła ze spiżarni zimną pieczeń wieprzową. Mężczyźnie przechodziła złość. Pochłaniał kawałki mięsa, popijając gorzałą. Po posiłku beknął, opuścił kuchnię, wjechał wozem do stodoły i rozsiodłał konia.

„Ciężka jest dola kobiety. Żony i matki. Jak tu wszystkim dogodzić? Furiatowi należy ustąpić” – pomyślała Matylda, wysypując rozkruszoną tabletkę nasenną do butelki.

Ela po powrocie ze szkoły została zapędzona do pracy. Czekał ją nawał obowiązków. W dodatku nikt nie chciał słuchać jej opowieści o włóczędzie.

Na obiad zjedli po misce kapuśniaku. Na drugie danie – ziemniaki i solidną porcję mięsa. Kawałki karkówki znikły w przepastnych żołądkach w błyskawicznym tempie. Gospodyni kręciła się żwawo koło stołu, dokładała mężczyznom jedzenia i dolewała wina.

Ali jeszcze nie było w domu. Została dłużej u krawcowej. Podobno mieli nawał pracy. Dobra wymówka. O której wróci? Trudno powiedzieć. Może w nocy? Ela pomyślała, że siostra to spryciara. Zawsze wykręci się od ciężkiej pracy.

Kacper zrzucił ziemniaki z wozu na klepisko. Potem oporządził krowy i świnię. Gospodarz, Matylda i Ela przebrali kartofle. Sadzeniaki i jadalne zapakowali do worów, a małe i uszkodzone przeznaczili na karmę dla bydła. Przygotowywano się do jutrzejszego wyjazdu na targ. Wory z ziemniakami ułożono na wozie wepchniętym do stodoły.

Gdy znów usiedli przy stole, zapadł już zmrok. Córki zjadły kolację i poszły do pokoi. Ogień wesoło buzował w piecu. Za oknami szumiał wiatr. Kot położył się pod ławą i mruczał. Pies leżał na podłodze i wybierał sobie z futra pchły zębami. Gospodyni sprzątnęła ze stołu. Otworzyła kredens i wyciągnęła butelkę. Zawartość flaszki wlała do szklanki i podsunęła ją mężowi. Sobie naląła kieliszek likieru.

– Napijmy się. Na zdrowie – zachęcała.

Stuknęło szkło o szkło. Gospodarz opróżnił musztardówkę. Gospodyni tylko umoczyła usta. Mężczyźni kleiły się powieki.

– Idź spać. Narobiłeś się jak wół. Wyruszmy wcześniej. Nagotuję kaszy, żebyśmy rano nie tracili czasu.

Grela popatrzył na nią mętym wzrokiem. Kobieta nie miała wątpliwości, że za pół godziny będzie spał jak niemowlę.

– Sprzedamy byczka... kupię uprząż dla żrebaka – wybełkotał.

– Oczywiście, co tylko zechcesz – powiedziała ugodowo, kręcąc się przy piecu. Ujęła męża pod ramię i zaprowadziła do sypialni.

Po chwili rozległo się chrapanie. Nakryła mężczyznę pierzyną, zgasiła światło, a wychodząc z pokoju, przekręciła klucz.

– Niech ci się przyśni coś miłego – wyszeptwała.

Postawiła na piecu garnek z kaszą. Przywlokła do łazienki ocynkowaną balię, nalała do niej ciepłej wody i długo się moczyła. Po kąpieli odcedziła pęczak, narzuciła na siebie palto i wymknęła się z domu.

Pochłonął ją chłód mroków. Jej sylwetka wtopiła się w ciemność nocy.

6.

Jeszcze nie zapał pierwszy kogut, a w domu Grelów już panowało ożywione poruszenie.

Gospodarze przygotowywali się do wyjazdu na targ. Matylda wydoiła krowy, przecedziła mleko i rzuciła kurom pszenicy. Napaliła w piecu, ugotowała kawę, podsmażyła boczek, a na rozgrzany tłuszcz wsypała kaszę. Była w znakomitym humorze. Jej lica się różowiły, a oczy świeciły radosnym blaskiem. Nuciała pod nosem skoczne melodie i poruszała się

z gracją baletnicy. Gdyby mogła, uniosłaby się w powietrze lub skakałaby ze szczęścia pod powałę.

Zgoła inaczej sprawa przedstawiała się z Heńkiem. Mężczyzna czuł się senny i otepiały. Marzył o łyku zimnego piwa na kaca. Podsunął Siwce wiadro z wodą i nasypał owsa do żłobu. Kacper w tym czasie nakarmił i wyczyścił przeznaczonego na sprzedaż byczka. Matylda obudziła dziewczyny i poleciła im, żeby przed wyjściem do szkoły i pracy umyły garnki i posprzątały kuchnię.

Wyruszyli wczesnym rankiem. Wóz wypełniony był ziemniakami, workami z wyczesaną wełną, dzbanem śmietany, twarogiem, osełkami masła, jajkami i króliczymi skórkami. Za furmanką kroczył przywiązany na postronku byczek.

Nad pagórkami unosiły się opary mgły. Nad szczytami przez chmury przebijało słońce. Na poprzecinanej koleinami drodze błyszcząły kałuże. Wóz kołysał się na wszystkie strony i niemiłosiernie skrzypiał. Koła toczyły się wolno, wpadały w błotniste bajorka i rozchlapwały mętną wodę. Z każdym kilometrem bliżej miasta przybywało wozów, traktorów i pieszych.

7.

Ela udała się do szkoły, a Ala do pracowni krawieckiej. W domu został Kacper, który miał doglądać inwentarza i pilnować obejścia.

Nastolatki szły w milczeniu. Gdy były dziećmi, łączyły je zażyłe stosunki. Bawiły się razem lalkami, urządzały festiwalne piosenki i rewie mody. W miarę dorastania ich drogi się rozeszły. Miały coraz mniej wspólnych tematów. Ala czuła się już dorosła, przez co zadzierała nosa.

Ela pragnęła wyuczyć się na pielęgniarkę. Oczami wyobraźni widziała, jak kroczy szpitalnym korytarzem w białym fartuszkach. Czy takie marzenie ma prawo się ziszczyć?

Po lekcjach młodsza siostra wróciła do domu. Rodziców jeszcze nie było. Zapewne zatrzymali się w gospodzie „Bajka” na peryferiach Zagórza. Na zabłoconym podwórzu kury dziobały ziarno, a na łące pasło się bydło. O ścianę domu opierał się zdezelowany rower. Kacper zapadł się pod ziemię.

Zacisnęła dłonie, aż zbieleły jej kostki. Czowała niemoc, zawód i wstyd. Bo z czego miała być dumna? Z kogo miała brać przykład? Matka wydawała jej się lekkomyślna; ojciec chował głowę w piasek, odurzał się alkoholem i unikał problemów. Czyżby ona miała być taka sama?!

Była w podłym humorze. Nic jej się nie chciało, nic jej nie cieszyło. Czowała się bezsilna. Przyszłość jawiła jej się w ciemnych barwach. Zdominowała ją rozpacz. Łzy cisnęły jej się do oczu. Pobiegła na górę, zwała się na łóżko, wtuliła twarz w pościel i uderzała pięściami w materac. Zalała się łzami i wyplakała do poduszki.

Po chwili osuszyła oczy i postanowiła, że od dzisiaj będzie myśleć wyłącznie o sobie. Będzie oszczędzała każdy grosz, a gdy dorośnie, ucieknie stąd jak najdalej. Wyjedzie w siną dal i tyle ją będą widzieli. Udowodni sobie i innym, ile jest warta. Włożyła do plecaka zeszyt i zbiegła na dół. Ciągle była wzburzona i obrażona na cały świat. Do lekcji religii miała jeszcze sporo czasu. Udała się więc w kierunku pobliskiego zagajnika. Postanowiła pospacerować po leśnych traktach. Miała nadzieję, że ruch i obcowanie z przyrodą przyniosą jej ulgę.

8.

Gospodyni stała przy furmance, zachęcając klientów do zakupu ostatnich osełek masła i ćwiartek twarogu.

Gospodarz kręcił się przy handlarzach koni. Mężczyzna jak mało kto znał się na kobyłach, ogierach i źrebakach. Było ich tutaj bez liku. Do wyboru, do koloru: kasztany, siwki, gniade, kare i srokate; kucyki, tarpany, bułanki i wałachy; dorodne rumaki i wychudzone szkapy. Heniek Grela zaglądał koniom w zęby, sprawdzał, czy nie ropieją im oczy, wsłuchiwał się w oddech, przesuwał dłonią po szyjach, zadach i grzbietach; przyglądał się nogom, zaglądał pod brzuchy i wahał kopyta. Sprawdzał, czy nie mają zgrubień na ścięgnach i kościach. Na koniec oglądał konia w klusie. Handlarze szanowali jego opinię, więc częstowali go samogonem.

Kupujący i sprzedający przekrzykiwali się, licytowali, kłócili, a gdy doszli do porozumienia, przybijali dłonie. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, a nad głowami handlarzy rozlegało się rzenie bucefałów.

Matylda zbyła ostatnią osełkę masła i skierowała się między stragany. Z trudem przeciskała się przez ciżbę. Dookoła rozbrzmiewała cygańska muzyka; ktoś grał na akordeonie. Smakowite zapachy rozchodziły się z dymiących kotłów. Przy drewnianych budach stały przekupki zachwalające swoje towary. Wokół kramów kłębiły się tłumy kobiet. Targowały się i wrywały sobie z rąk upatrzone ciuchy.

Na wieszakach prezentowano gustowne stroje: spódnice, sukienki, sweterki, żakiety i kostiumy. Na stołach leżały koszule, chusty, apaszki, czapki i bielizna. Oczy Matyldy błyszczały. Jaki kolor wybrać: czerwony, niebieski czy czarny?

Musi przecież iść z trendami, być atrakcyjna i podkreślać kobiecość.

Rozejrzała się i upewniwszy się, że nikogo znajomego nie ma w pobliżu, kupiła fikuśne majteczki i obszuty koronką biustonosz. Zawiniątko schowała do torby. Kobięce tajemnice. Mąż nie musi o wszystkim wiedzieć. Przy kramiku z książkami nabyła nowe romansidła. Poczyta sobie w długie, zimowe wieczory. Chodziła od stoiska do stoiska i po godzinnej wędrówce przytachała dwie torby zakupów.

Grela także nie marnował czasu. Kupił chomąto i uprząż dla żrebaka.

– Wracamy do domu. Wio, Siwka, wio! – krzyknął gospodarz, strzelając z bata.

Kobyła odwróciła łeb do tyłu i popatrzyła na woźnicę. Zaparła się kopytami, naprężyła postronki i wóz się potoczył. Zaskrzyphiały drewniane burty, a przy skrętach zgrzytały nie-nasmarowane prowadnice. Minęli opłotki miasta i pojechali wzdłuż muru okalającego cmentarz.

Gospodarze byli na nogach od rana i czuli ssanie w żołądkach. Zatrzymali furmankę przy gospodzie, zaciągnęli hamulec, podsunęli kobyle wiecheć siana, otrzepali buty z błota i weszli do środka. Spoczęły na nich błyszczące oczy pijaków z twarzami nalanymi od ciągłego opilstwa. Pomieszczenie tonęło w kłębach papierosowego dymu. Fala dusznego powietrza przesyconego piwem, tanim winem i wódką buchnęła im w nozdrza. Odnosiło się wrażenie, że samym zaduchem można upić się w kilka minut. Matylda wypatrzyła wolne miejsce w rogu izby. Usiedli w kącie przy lepącym się od brudu stoliku i czekali na kelnerkę.

Do karczmy wpychali się powracający z jarmarku chłopci. Drzwi się nie zamykały. Panował zgiełk, głośno wyrażano swoje racje i śmiano się ochryple, szkło dzwoniło o szkło. Niektórzy podchmieleni klienci kiwali się nad niedopitymi kufkami piwa, inni ucinali sobie drzemkę.

Przy kontuarze ustawiła się kolejka amatorów chmielowego trunku. Brakowało kufli. Raz po raz dochodziło do sprzeczek. Oczekujący skakali sobie do oczu. Sypały się wulgaryzmy.

Za ladą stała szefowa – nie byle kto. Przezywano ją Rozczochrana Klara. Barmanka miała słuszną postawę i wiecheć zmierzwionych włosów na głowie.

Przy stoliku Grelów pojawiła się kelnerka w brudnym fartuszkach. Szczupła i pryszczata. W jednej dłoni trzymała kajet, w drugiej długopis. Popatrzyła na nich pytającym wzrokiem. W jej zachowaniu wyczuwało się zniecierpliwienie. Matylda zamówiła flaki, parówki i pieczywo. Dla pokrzepienia i rozgrzania zziębniętych ciał – pół litra ratafii. Wypili dwie kolejki przed podaniem jadła.

Klara nie zwracała uwagi na pyskówki zniecierpliwionych ludzi. Brała w pulchną dłoń kufel i z pietyzmem otwierała kurek. Złocisty płyn lał się po ścianie pochylonej szklanki. Nagle w miedzianej rurce zasyczało – skończyło się piwo.

– Robert, wymień migiem beczkę! – krzyknęła w stronę zaplecza.

Zawrzało. Pierwszy w kolejce mężczyzna wałnął pięścią w kontuar i popatrzył wrogo na kobietę. Rozczochrana Klara uważnie go otaksowała. „Chucherko, chudzina” – oceniła w myślach.

– Dlaczego pani tak się na mnie gapi? – zapytał zaczepnie.

– Nie widzisz, sierotko, że zabrakło piwa? Jak ci się spieszy, polecam butelkowe – odpowiedziała mu spokojnym głosem.

– Nie po to sterczę tutaj pół dnia, żeby napić się lury.

Ktoś szarpnął za rękaw narwanego osobnika.

– Daj spokój. Z nią nie wygrasz – doradzano mu.

Krostowata nastolatka przyniosła flaki w aluminiowych miskach. Na parówki musieli poczekać. Był duży ruch w interesie. Zgłodniali chłopci zamawiali bigos, fasolkę po bretońsku, płucka na kwaśno, gołąbki i pulpety. Zapijali piwem, grzany winem i gorzałką. Z niektórych głów wręcz parowało.

Do stolika Grelów podszedł Franek Kubas.

– Wolne? Można? – zapytał, wskazując na stołek.

– Siadaj – odburknął Heniek. Traktował mężczyznę z lekceważeniem, gdyż mieszkał na jeszcze większym zadupiu niż on. Przysiółek Łazy stanowiły tylko trzy chałupy pod lasem.

– Uważaj, bo krzesło jest rozklekotane – ostrzegła go Matylda i nałapała mu do kieliszka likieru.

Barmanka pociągnęła za dźwignię. W dystrybutorze zasycało i do kufła popłynęła piana. Klara poczekała, aż się ustoi, a następnie podsunęła szklankę szumowin cholerykowi.

– Kpi pani ze mnie?! Wypraszam sobie! Płacę i wymagam! Pierwszy kufel piwa wylewa się do zlewu. Przecież to popłuczyny.

– Albo pan płaci, albo... – zawiesiła głos.

– Co mi pani robi, no co?! – nastroszył się jak kogut.

– Temat skończony. Dzisiaj już pana nie obsłużę. Następny, proszę. Panu też coś się nie podoba? – spojrzała groźnie na rumianego kowala.

– Ależ, pani Klaro... Jakżebym śmiał. Wlej pani kapinkę wódki do kufła. Tak, żeby moja nie widziała.

Upokorzony klient wykrzykiwał:

– Poskarżę się w gminie! Jeszcze mnie popamiętacie! Zamkną wam tę zapchlona spelunę!

W tym momencie skończyła się cierpliwość barmanki. Poczzerwieniała na twarzy. Ogarnęła ją wściekłość. Jakies byle co ma czelność zakłócać spokój?! Postawiła na blacie kufel, wytarła dłonie, wzięła zamaszysty zamach i uderzyła krewkiego osobnika mocno w twarz. Odgłos razu był tak donośny, że ludzie siedzący przy pobliskich stolikach odwrócili się, żeby zobaczyć, co się stało. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, a on sam się zatoczył. Z nosa pociekła mu krew.

– Szantrapo z kopą siana na głowie! Ja ci pokażę! – wrzasnął, trzymając się za twarz.

– Robert, weź Dyscyplinę, mamy problem! – krzyknęła.

Po sekundzie z zaplecza wyłonił się barczysty mężczyzna. Kobieta ruchem głowy wskazała intruza.

– Ucisz, gnojka! Wyrzuć go stąd! – zaordynowała.

Robert przyskoczył do krewkiego osobnika i dzielił go gumową pałą przez plecy. Miał w tym niezłą wprawę. Przez wiele lat pracował w milicji. Powietrze dudniło od razów. Silny cios powalił pechowca na podłogę, jakby mu ktoś podciął nogi. Z trudem łapał powietrze, wytrzeszczył oczy, a wyraz jego twarzy wyrażał boleść.

– Boli! Co pan robi?! – zaskomlał nieszczęśnik.

Osiłek złapał go za ubranie, postawił na nogi, otworzył drzwi i wyrzucił na zewnątrz. Poszkodowany zatoczył się i wylądował głową w kałuży.

– Żebym cię tutaj więcej nie widział, śmieciu! Jeden telefon i skończysz w areszcie. Posprzątane! – krzyknął były gli-niarz do szefowej.

– Co za ludzie. Chamy bez ogłady – mamrotała do siebie. Spojrzała na stojących w kolejce struchlałych ludzi. Chłopy jak dęby, czerstwi na twarzach, a wyglądali jak potulne ba-ranki. Żaden z nich nie protestował, kiedy w otrzymanym kuflu było więcej piany niż piwa.

– Zobaczcie, jak uczują – zwrócił się jeden z chłopów do drugiego, wskazując na Matyldę z mężem.

– Jedzą i piją jak hrabiowie. Całkiem poprzewracało im się w łepetynach. I jeszcze ten Franek, biedaczyna. Ciągnie swój do swego – wtórowała siedząca z nimi baba.

– Co też Matylda widziała w tym wymoczku? Milczek i ponurak. Bładziuchny na twarzy, a ona, popatrzcie... Ru-miana, a krew o mało nie tryśnie z jej policzków. Podwozie też ma niczego sobie – dorzucił drugi, mrugając porozumiewawczo.

– Nedorajda bez jaj. Kto to widział, żeby mąż przyjmował nazwisko żony? Popatrzcie, jak się rozgląda, lafirynda. Oczy się jej skrzą do figłów. Grzesznica, a w kościele pcha się do pierwszego rzędu – zrzędziła kobieta. Przyglądała się Matyl-dzie. Ta wyczuła jej wzrok, odwróciła się, a ich oczy się spo-tkały. – Patrzy na nas. Uśmiechnijcie się i pomachajcie – po-wiedziała do mężczyzn.

Grela wbił widelec w parówkę, ale sztuczna osłonka sprawiła, że kielbasa ześlizgnęła się z talerzyka i upadła na za-śmieconą podłogę. Mężczyzna schylił się, podniósł serdelka, obtarł go o sweter i ponowił próbę. Tym razem się udało, ale tłuszcz trysnął mu w oczy.

– Każdemu może się zdarzyć. Jestem głodny – tłumaczył się zażenowany.

Poirytowana Matylda podniosła się z krzesła i udała do toalety.

– Pilnuj parobka – szepnął poufale Franek, gdy kobieta się oddaliła.

Grela przymrużył oczy i popatrzył na niego podejrzliwie.

– Kacpra? Nie jest moją własnością. Wyrażaj się jaśniej. Co masz na myśli? – zapytał zaczepnie.

– Chytry lis. Przemyka łąkami do chałupy Hanki Worek – powiedział konfidencjonalnie.

– Hanki? – Grela odetchnął z ulgą. Kobieta była wdową. Mieszkała, podobnie jak Kubas, w Łazach. Jej mąż zginął dwa lata temu, przygnieciony potężnym świerkiem. Heniek obrabiał jej pole, a ona i jej syn – Mateusz – pomagali mu w gospodarstwie.

Matylda usiadła na sedesie, wyjęła z torebki portmonetkę, wyciągnęła z niej dwa banknoty, złożyła je i wsunęła za stannik. KobiECE tajemnice. Mąż nie musi o wszystkim wiedzieć.

Wielu klientów było podpitych. Tonacja głosów przybrała na sile. Zakotłowało się. Słyszeć było przewracający się stół i brzdęk tłuczonego szkła. Ktoś komuś wygrażał. Do pomieszczenia pomknął Robert. W dłoni dzierżył Dyscyplinę. Rozległy się uderzenia. Raz, dwa, trzy... Po chwili z sali wybiegło dwóch braci. Jeden miał rozcięte czoło, drugi krwawił z nosa. Zabijaki i chojracy, a zmykali jak psy z podkulonymi ogonami. Robert pożalił się Klarze, że boli go ramię. Ta doradziła mu, żeby rozmasował rękę, bo do zamknięcia gospody zostało jeszcze sporo czasu.

– Robi się niebezpiecznie. Jedziemy do domu – zarządziła Matyllda, wróciwszy do stolika.

– Heniek, zostań! Pogadamy. Bądź chłopem, a nie fiutem. Ja nie pozwoliłbym, żeby rządziła mną baba – podpuszczał go Franek.

– Zatkaj ryj, opoju! Pilnuj swojej pyry! – wrzasnęła mu w twarz kobieta. Uwaga była celna, gdyż żona Kubasa pochodziła z zapadłej wsi pod Poznaniem.

– Tylko nie pyra, tylko nie... – nie dokończył, gdyż złamała się noga krzesła i mężczyzna runął na posadzkę.

Z zaplecza wybiegł Robert z pałą w dłoni, ale zobaczywszy, co się stało, odetchnął z ulgą.

– Na drugi raz weź ze sobą spadochron – dogryzł Frankowi.

9.

Ela wkroczyła w gęste zarośla, osłaniając ręką twarz, aby uniknąć bolesnych razów. Pod jej stopami szeleściły liście. W lesie panował półmrok. Poprzez splecione korony drzew z trudem przedzierało się słońce. Dziewczyna doskonale знаła zalesiony teren. Orientowała się, gdzie znajdują się młodniki, zagajniki, wyręby, polanki, porośnięte sitowiem sadzawki i bagna. Często zapędzała się w nieprzystępne ostępy; zbierała chrust i runo leśne. Nieraz spotkała się oko w oko z lisem, stadem saren lub watahą dzików.

Las był mieszany, ciągnął się kilometrami. Rosły w nim wysmukłe świerki, rosochate dęby, dorodne buki i otulone białą korą brzozy. Porowate pnie klonów pokrywał mech i porosty. Pomiędzy wysokimi drzewami przykucnęły leszczyny, karłowate graby, wiązy i olchy. Poniżej płożyły się

odnogi kolczastych jeżyn, rosła wątła trawa, wrzosa, borowina i paprotki.

Ela weszła na podmokły teren. Buty zapadały się głęboko w torfową maź. Wokół lśniła zastygła w bezruchu woda. Z czarnych bajerek wystawały zgniłe konary i unosiły się trujące wyziewy. Wąską ścieżką dotarła do stawu. Napowierzchni sadzawki unosiły się kaczki i łabędzie. Szlachetne ptaki płynęły z dumnie uniesionymi głowami.

Wzmogły się powiewy wiatru. Na tafli wody pojawiły się zmarszczki. Zaszemrały liście, zaszeleściły trzciny, a z głębi lasu dochodziły szmery, syki i odgłosy przypominające chichot.

Wracała do domu. Nad jej głową płynęły szare obłoki. Na gałęziach jesionu przysiadło stado szczebiotliwych szpaków. Czarne obwiesie odbywały naradę

W domu przywitała ją cisza. Kacpra ani śladu?! Weszła do kuchni, położyła na krześle teczkę i udała się do obory. W środku panował mrok. Okienka były zaparowane i przepuszczały nikłe światło. Spod łukowatego sklepienia zwisała przybrudzona żarówka. W kątach pomieszczenia kołysały się pajęczyny. Przekręciła kontakt. Żółtawe światło rozświetliło wnętrze. Przy żłobie uwiązany był cielak. Wróciła do domu, nalała mleka do wiadra, po czym, wróciwszy do pomieszczenia gospodarczego, napiła bydłatko.

Stajnia i stodoła były połączone wąskim przejściem. Pod ścianą stał wózek dziecięcy z wiklinowym koszem. Prostopadła gondola umieszczona była na amortyzowanym podwoziu bez kółek. Skrzynia wypełniona była słomą i służyła kurom za miejsce do znoszenia jajek. Tylne części izby była odgradzona drewnianą kratownicą. Za przepierzeniem znajdo-

wało się królestwo Kacpra. W rogu wydzielonej powierzchni stało wyrko i szafa.

Ela uwielbiała myszkować w cudzych rzeczach. Podniosła siennik do góry. Pod materacem rozsypana była sieczka i walały się papierki po cukierkach. Parobek podkładał pod głowę poduszkę, pod którą wtykał szmaty, aby mieć wyższe wez-głowie, a przykrywał się kożuchem. Przetrzęsnęła kieszeń po kieszeni. Poza wyciętymi z kolorowych czasopism aktami kobiet nie znalazła nic ciekawego.

Podeszła do szafy i otworzyła ją. Czerstwy zapach uderzył w nozdrza dziewczyny. Na wieszakach umieszczono koszule, kamizelkę, marynarkę i kurtkę; na dolnej półce leżała parcia-na torba; w szufladzie znajdowały się skarpetki, bielizna i pudełko po pralinkach. W drewnianym puzderku znalazła przybory do golenia, dwie paczki papierosów, tytoń, tutki, zapalki i sfatygowany dowód. Otworzyła dokument i zapamiętała dane. Spojrzała na wklejoną fotografię i odniosła wrażenie, że mężczyzna na zdjęciu i Kacper to dwie różne osoby.

Prycza przylegała boczną deską do ściany, a przednią – do żłobu. Odsunęła wyrko, opukała nogi, a potem obmacała mur. W miejscu styku koryta z podmurówką wyczuła luźną cegłę. Wyciągnęła ją i odkryła schowek. W skrytce tkwił portfel, notes i legitymacja opatrzona emblematem młota i sierpa. Rubryki dokumentu wypełnione były cyrylicą. Wewnątrz pularesu znajdowały się polskie i dolarowe banknoty, a w portmonetce – srebrne i złote monety. W przegródkę wsunięte było wyblakłe zdjęcie kobiety. Najwidoczniej rodzicielki parobka, gdyż uderzało podobieństwo rysów.

W notatniku widniały zapiski. Nie były to kulfony, tylko wyrobione pismo. Halina, Teresa, Monika, Hanka, Matylda?!

Obok imion postawiono pionowe kreseczki. Co jest grane? Już ona dobrze mu się przyjrzy! Przecież Kacper zapewniał, że nie umie czytać ani pisać. Raz przyszedł do nich sołtys, aby go zameldować, i parobek złożył podpis krzyżykiem.

Włożyła ponownie dłoń do kryjówki i natrafiła na pakunek. Ku jej zdziwieniu był to zawinięty w szmatkę pistolet i dwa magazynki. Wzdrygnęła się, gdyż wydało jej się, że słyszy nad głową podejrzane szmery. Przerwała przeszukiwania i zeszytniała. Co to było? Może to kot, kuna, a może... człowiek? Zastygła w bezruchu. Trzymała w dłoni broń i nasłuchiwała. Cisza. Może się przestyszała?

Schowała rzeczy do skrytki, a szczelinę z powrotem zamaskowała cegłą. Przysunęła łóżko do ściany i zlustrowała pomieszczenie. W stropie wycięty był otwór, przez który wchodziło się na stryszek. Przechowywano tam siano. Stwierdziła, że tą drogą nikt nie mógł dostać się na górę, gdyż drabinka leżała pod ścianą. Wyszła z obory. Na wyższą kondygnację prowadziły także schodki, ale drzwi były zamknięte na skobel. Odetchnęła z ulgą.

Miała dość wrażeń na dzisiaj. Goniąc z miejsca na miejsce, nie pomyślała o jedzeniu. Od śniadania nie miała nic w ustach. Umierała z głodu. Wróciła do kuchni, ukroiła kromkę chleba, posmarowała ją masłem i zjadła, popijając zsiadłym mlekiem. Po przekąsce złapała za torbę i udała się na lekcję religii.

Katechezę prowadził proboszcz, do którego przywarła ksywka Srogi. Ksiądz Kazimierz był słusznego wzrostu, mocno zbudowany i do tego krzepki. Na twarzy mężczyzny rzadko gościł uśmiech – jego oblicze zazwyczaj było surowe, a oczy ciskały gromy. Za brak odpowiedzi na zadane pytanie

delikwent mógł dostać dwóję lub „batonika”. Oznaczało to, że uczeń wyciągał rękę, a ksiądz walił gumowym wężykiem po dłoni. Siła uderzenia była wprost proporcjonalna do niewiedzy. Czasami przedmiotem wymierzania kary stawała się plecionka, kabel lub drewniana linijka. Jednym słowem – pełne urozmaicenie.

Lekcja odbywała się w ciasnej klitce. W tym pomieszczeniu urzędował kiedyś stolarz. W szparach w podłodze ciągle tkwiły wióry, a w kątach salki – kawałki drewna, ścinki i opiłki. Do warsztatu wstawiono ławki, a na podwyższeniu ustawiono biurko katechety.

Kapłan był dzisiaj w podłym nastroju. Krążyły pogłoski, że jeden z wiernych zarzucił mu chciwość. Proboszcz w rewanżu nie udzielił mu komunii. Ten z kolei pojechał na skargę do biskupa.

Ksiądz poprosił o spokój i rozpoczął lekcję. Siedział na krześle i czujnie obserwował powierzone mu w opiekę owieczki. Omawiał Dekalog – dziesięć przykazań będących podstawową powinnością człowieka wobec Boga i bliźniego; są niezienne i obowiązują zawsze i wszędzie, nikt nie może od nich dyspensować. Dziesięć przykazań Bóg wyrzył w sercu każdego człowieka. Tylko jak jest z ich przestrzeganiem?

W pewnym momencie proboszcz uniósł się z za stołu i podążył ku ostatniej ławce. Siedzieli w niej Stefek, Mietek i Ludwik – największe rozrabiaki. Ksiądz położył dłoń na kartce leżącej na biurku i powiedział:

– Obserwuję was od dłuższej chwili. Wierciecie się, jakbyście mieli w tyłkach owsiki. Rozmawiacie, chichotacie i przeskadzacie innym. Do tego coś rysujecie. Pochwalcie się waszymi bazgrołami.

Rysunek przedstawiał mężczyznę i kobietę w nieprzyzwoitej scenie. Księdzu skoczyła gula. Srogi wyraz twarzy zamienił się w okrutny. Dowcipnisie zostali spiorunowani wzrokiem. Przeszyci na wylot szydłem, przewierceni świdrem. Duchowny zagryzł wargi, podszedł do Ludwika i wykręcił mu ucho, drugą – zaciśniętą w pięść dłoń – zamierzał spuścić na głowę nieboraka. W ostatniej chwili zreflektował się i unieruchomił zabójczy kafar.

– Na środek! – ryknął, aż z sufitu posypał się pył. Przerazeni chłopcy ustawili się przed biurkiem. – Powiedzcie mi, o czym jest dzisiejsza lekcja. O czym mówiłem? Cisz! – wrzasnął, słysząc, że ktoś z uczniów podpowiada.

Młodzieńcy wbili wzrok w podłogę, zaciskali dłonie i przestępowali z nogi na nogę. Ucho Ludwika stało się pąsowe. Mietek podrapał się po głowie i wybąkał:

– O przykazaniach...

– Dalej, dalej... – ponaglał ksiądz.

– Nie kradnij, nie zdzieraj z bliźniego... – wyjąkał młodzieniec.

Proboszcz nie dał mu dokończyć, myśląc, że chłopak ma na myśli jego scysję z wiernym. Otwarta dłoń katechety wylądowała na policzku Mietka. Młodzian zachwiał się, a lewa część jego twarzy zrobiła się wiśniowa. Ksiądz wpadł w szal i okładał wyrostków gumowym wężykiem. W końcu złapał Stefka za koszulę i potrząsnął nim, aż pourywał mu z niej wszystkie guziki.

– Zejdźcie mi z oczu! Zmówiliście się przeciwko mnie! Próbuję was czegoś nauczyć, a wy co?! – uderzył dłonią w kartkę. – Świntuchy! Nieuki! Opanowały was demony. Jutro zgłosicie się do mnie z rodzicami!

Skończyła się sielanka. Rozpoczęło się odpytywanie. Niemal każdy z uczniów dostał „pałę”, której nie można było zamienić na „batonika”. Ksiądz grzmiał, że skończyły się ceregiele, a w najbliższą niedzielę oznajmi z ambony, jacy z nich gagatkwowie.

Po religii Ela natknęła się na Edytkę Kulig. Dziewczyna mieszkała w tym samym przysiółku. Miała rude włosy, piegowatą twarz i chodziła do piątej klasy. Wszyscy przezywali ją Wiewióra. Koleżanka bała się wracać do domu sama, gdyż nad rzeką kręciła się zgraja młokosów, którzy zaczepiali dziewczyny.

Dzisiaj niedorostki znaleźli sobie ciekawsze zajęcie. Wlewali do puszek wodę, wkładali karbid, zatykali pokrywę, zapalali zapalkę i przykładali ją do otworu w denku. Po ułamku sekundy rozlegał się huk detonacji. Nad Sanem słychać było kanonadę wybuchów. Tak, jakby nad rzeką toczyła się potyczka artyleryjska. Przerazona zwierzyna wyskakiwała z krzaków, wystraszone psy umykały do domów, a ptactwo zrywało się do lotu.

Ali nie było jeszcze w domu. Rodziców też. Na szczęście Kacper się odnalazł. Właśnie zaganiał bydło do obory. Stadko rogacizny tłoczyło się przy studni i łapczywie żłopało wodę. Parobek uwiązał krowy u żłobu, owce zagonił do kojca i udał się do chlewika. Po chwili dobiegł stamtąd kwik wygłodniałych wieprzków.

Ełę dopadło poczucie krzywdy. Niezależnie od tego, jak się starała, urabiała ręce po łokcie, i tak nikt tego nie doceniał. „Od czego zacząć? W co włożyć dłonie?” – zastanawiała się. Jest zbyt sumienna; wszystkim się przejmuje. Znowu przemknęło jest przez głowę, że musi zmienić nastawienie i za-

czać myśleć wyłącznie o sobie. Koniec, kropka! Przecież nie zbawi całego świata. Roboty nie przerobi. Napaliła w piecu, postawiła na palenisku ocynkowane gary i napełniła je wodą.

Zapadał zmrok. W oknach chałup zapalały się żółtawe światełka. Nad rzeką rozległ się odgłos detonacji. Morus nadstawił uszu i czmychnął do budy. Żrebak bił niecierpliwie kopytami w posadzkę.

Udała się do obory. W stajni dominował zapach obornika. W pomieszczeniu panował zaduch, a na ścianach perliła się wilgoć. Po zawilgoconych murach, w świetle samotnej żarówki, tańczyły tajemnicze cienie. Krowy leniwie przeżuwały słomę i patrzyły na nią wyczekująco.

Złapała stołek, usiadła przy Krasuli, wytarła szmatą wymię i zaczęła doić. Strumienie ciepłego mleka tryskały ze strzyków i uderzały o dno wiaderka. Na powierzchni płynu ukazała się piana. Ciągnęła bezwiednie za wymiona. Raz i dwa, raz i dwa. Pierwszy sutek, drugi, trzeci, czwarty i tak po kolei, aż biała ciecz przestała tryskać. Druga krowa była mniej cierpliwą i tak energicznie odganiała się od much, że dwa razy zdzieliła ją brudnym ogonem w głowę.

Wreszcie zjawili się rodzice. Oboje byli w szampańskich humorach.

– Córúś! Kupiłam ci naszyjnik, bransoletkę, fartuszek i słodycze. Zanieść torby do domu! – krzyknęła Matylda.

– Kacper! Gdzie jesteś, darmozjadzie?! – darł się wniebogłosy ojciec. Zaniósł zakupioną uprząż do domu i schował we wnęce pod schodami.

Z chlewika wynurzył się parobek. Gospodarz popatrzył na niego karcącym wzrokiem, coś sobie przypomniał i głośno się roześmiał.

– Ptaszki ćwierkają, że zachciało ci się wdówki.
– Dlaczego się czepiasz? – wybąkał Kacper.
– Spodobała ci się Haneczka? Gonisz do niej przez łąki w podwiniętych galotach? Rób, jak uważasz. Jesteś wolny. Wjedź wozem do stodoły i wyprzęgnij Siwkę! Napój konie i nasyp im obroku! Od rana jestem na nogach i potwornie chce mi się spać – rzekł, ziewając.

Do bydłęcej obory przylegał wychodek, w którym domownicy załatwiali swoje potrzeby. Matylda siedziała w skleconej z desek wygodce i podsłuchiwała mężczyzn. Słyszając wywody męża, poczuła ukłucie zazdrości. Wściekłość wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem. Znudziła się parobkowi? Zaprażyła innej? Hanki?! Wdówki?! Niewdzięcznik! Kupuje mu papierosy, tytoń, słodycze, a ostatnio uraczyła go pętem swojskiej kiełbasy. Karmi go, dogadza, a on ugania się za lafiryndami.

Ela wypakowała zakupy. Podatne na zepsucie produkty spożywcze wsadziła do kredensu, wędliny, konserwy i olej zaniosiła do spiżarni, a książki ułożyła na regale. Na stole zostały ubrania, błyskotki, owoce i słodycze. Sięgnęła po czerwone korale.

– Nie ruszaj! – usłyszała z tyłu grzmiący głos. Matka w ciągu kilku minut przeszła zadziwiającą zmianę nastroju. – Te są dla Ali, tobie kupiłam bransoletę i naszyjnik z bursztynu. Weź torebkę krówek i zmykaj do pokoju! Już cię tu nie ma! – wrzasnęła, tupiąc.

Ela złapała podarunki i przeskakując po dwa stopnie, umknęła na górę.

Rozdrażniona Matylda kopnęła kota, a psa wygoniła na podwórze. Usiadła przy stole i walnęła pięścią w blat.

– Już ja mu pokażę! – przyrzekała sobie.

10.

Następnego dnia gospodyni obudziła się wściekła. Jakby wstąpił w nią diabeł. Nie mogła znaleźć sobie miejsca i ciskała gromami przez cały poranek. Czepiała się wszystkich o byle co. Przesuwała z hałasem naczynia i przestawiała wiadra. Jej oczy miały pioruny. Furia z minuty na minutę przybierała na sile.

– Wąłkonie! Brudasy! Bałaganiarze! Darmozjady! Od dzisiaj w tym domu nastaną nowe porządki! Chałupa zarasta brudem, podwórze zaśmiecone. Bierzemy się do pracy! Chwytajcie za miotły! Zarządzam generalne sprzątanie! – wrzeszczała, potrząsając pięścią.

Domownicy zostali postawieni do pionu. Przydzielono zadania. Uporządkowano podwórko i klepisko w stodole. Wyniesiono z pokoi pierzyny, koce, narzuty, dywany i rozwieszono je na płocie. Obrazy zdjęto z haków. Łóżka odsunięto od ścian. Wymieciono śmieci i pajęczyny, starto kurze. Wyszorowano podłogi i umyto okna.

Gospodarz czyścił kurnik, a Kacprowi przypadł niewdzięczny obowiązek opróżnienia kloaczego dołu. Spod wychodka rozchodził się potworny smród. Nad ekskrementami unosiły się chmary much, a w cuchnącej papce poruszały się robaki.

Gospodyni pełniła rolę nadzorcy i skrupulatnie sprawdzała postęp prac. Kontrolowała i strofowała domowników grzmiącym głosem. Wskazywała palcem pozostawiony w kącie kurz, okopcone kafle, tłuste plamy na posadzce, niestarannie wygrabione podwórze i zabrudzone grzędy. Kobieta nękała Kac-

pra, wytykając mu najmniejszy mankament. Koszula parobka kleiła się od potu. Usta miał owinięte szmatą. Jego piwne oczy pytały: dlaczego?

11.

Mijały tygodnie. Pozostały już tylko wspomnienia gorących dni, woni lip i kwitnących rumianów. Nad coraz większą częścią dnia rozciągnęła władzę ciemność. Jedyne sporadycznie ciepłe promienie ogrzewały łono natury. Każdy dzień przynosił ze sobą chłód, a siwe mgły unosiły się nad polami. Natura szeptała, że upalny czas minął bezpowrotnie.

W niedzielę dzwony biły długo i donośnie. Dźwięki niesły się po lasach, dolinach, polach i między domostwami. Melodyczny głos zapraszał do świątyni. Dopisywała zarówno aura, jak i pogoda ducha. Chłopi kończyli obrządek, myli się i ubierali odświętnie. Tłumy parafian podążały do kościoła. Szlachetni i grzesznicy; bogaci i biedni; zdrowi i chorzy; dzieci i dorośli; kawalerowie i żonaci; inteligenci, robotnicy i analfabeci.

Ela dołączyła do orszaku. Maszerowała drogą wzdłuż Sanu w towarzystwie Edytki i jej siostry – Bożenki. Józek Zaremba minął je junakiem. Na tylnym siedzisku usadowiła się jego żona. Mateusz wyprzedził grupkę pieszych zdezolowanym rowerem. Spod kół bicykla tryskało błoto.

Przed kościołem zaparkowały samochody, motory, skutery i rowery. Pod lipami zatrzymała się furmanka, nieco dalej – bryczka. Przy bramie siedział żebrak i prosił o jałmużnę. Zbierał datki do kapelusza. Dziad miał brudne dłonie, spękany naskórek, a za paznokciami brud. Zapadnięte policzki, skołtunione włosy i krzaczaste brwi wzbudzały u ludzi litość.

Tłum wiernych tłoczył się na dziedzińcu. Tonacja rozmów przybierała na sile. W mrowiu ludzi brylowali starcy. Ciała mieli żyłowate, krzepkie i spalone słońcem, a na ich twarzach malowała się posępna powaga. Przed wypłowiałymi oczami przygarbionych dewotek nic się nie ukryło. Staruszki taksowały uważnym wzrokiem przybyłych, kręciły z dezaprobatą głowami i zgorszone spluwały na trawę.

Wreszcie rozwarły się podwoje przybytku bożego. Starowiny, podpierając się laskami, ruszyły w stronę świątyni na żyłastych nogach. Kuśtykały niczym na szczudłach, ściskając w pomarszczonych dłoniach paciorki różańca. Ludzie rozpychali się łokciami. Ktoś potknął się, a napierający motłoch o mało go nie stratował. Ela przecisnęła się przez ciżbę i usiadła w ławce na przedzie kościoła. Matylda usadowiła się dwa rzędy dalej. Ojciec zazwyczaj stał przed budynkiem, Ala uczęszczała na wieczorną mszę, a Kacper udawał się do cerkwi.

Na większości twarzy malowała się powaga. Tylko młokosi zaczepiali dziewczyny, rzucali papierkami i szczyrzyli zęby jak stare chabety.

Kryształowe żyrandole zwisały z łukowatego sklepienia. Ostrołuczne okna wypełniały kolorowe witraże. Jeden z nich przedstawiał świecę z różowym płomieniem. W bezpośredniej bliskości Eli wisiał obraz olejny Matki Boskiej Wniebowziętej, IX stacja drogi krzyżowej, a nad nimi tkwił witraż z barwnego szkła, który przedstawiał orła w pożącannej koronie. Obok drapieznika umieszczono napis: „Bóg. Honor. Ojczyzna”. W wazonach tkwiły kwiaty. Tabernakulum błyszczało złotem. Na bocznych ścianach prezbiterium widniały oszklone gablotki z wotami. Nad ołtarzem wisiał krzyż

z przygwożdżonym Chrystusem. Poniżej znajdował się obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem na ręku. Malowidło otoczone było zielonym powojem i udekorowane sztucznymi kwiatami magnolii.

Otworzyły się drzwi zakrystii. Zadzwoił dzwoneczek. Oczom wiernych ukazali się ministranci, a po nich proboszcz. Surowa twarz kapłana nie wróżyła niczego dobrego. Organy zabrzmiały z pełną mocą; z chóru popłynęła muzyka. Z piersi wierzących wydobył się donośny śpiew. Pieśń towarzyszyła procesji kapłana i usługujących.

Ksiądz pozdrowił wiernych. Jego tubalny głos wzniosł się pod kopułę. Lud odpowiedział gromko: „I z duchem twoim”. Grube świece osadzone w stojakach paliły się jasnym płomieniem. Przed duchownym spoczywał mszał na drewnianej podstawie, a wypolerowany kielich nakryty welonem stał po drugiej stronie.

Ministranci wzorowo wypełniali swoje obowiązki. Dzwonili dzwoneczkami, uderzali w gong, nalewali wody i wina do złocistego pucharu. Ludzie klękali, bili się w piersi, składali hołd Panu i gorliwie szeptali słowa modlitwy. Od kadzidła snuło się pasemko dymu, rozsiewając aromat cytrusa, bursztynu i piżma. Zdaniem wielu zapach ten odpędzał choroby i złe duchy.

Nadszedł czas kazania. Proboszcz wdrapał się na ambonę. Kazimierz Srogi klepnął mikrofon i omiółt ludzi surowym wzrokiem. Pod grzesznikami ugięły się kolana. Wydawało im się, że sługa pański wie wszystko o ich nikczemnych postępkach. Po chwili z głośników popłynął gromki głos:

– Przybyłem do Biedoli przed dziesięcioma laty. Bóg powierzył mojej opiece rozproszone stado. „Zagoń do stajenki

zagubione owieczki. Odbuduj kierdel i stań się jego pasterzem” – zobligował mnie. Co tutaj zastałem? Zaniedbany kościół. Rozdrobnienie, chałupa od chałupy daleko. Staram się, jak mogę, ale daremny jest mój trud. Gdzie się podziała wasza wiara?! Przywiązanie do tradycji?! Raz w tygodniu przybiegacie do świątyni i myślicie, że to wystarczy. Przybywacie tutaj, aby się pokazać. Tak jest najwygodniej. „Byłem, zaliczyłem i tyle. Niech nikt się mnie nie czepia”. Wstyd! Hańba! Rozpusta się szerzy. Brat bratu wilkiem. Kobiety urządzają w kościele rewie mody. Dziewczyny przychodzą w miniówkach. Popatrzcie tylko – widać im gołe tyłki! Młokosi na lekcjach religii kreślą sprośne rysunki. Skąd mają czerpać przykład? Kto jest dla nich wzorcem? Kogo naśladują? Rodziców?! Dobrze sobie. Zło się panoszy! Kradzieże, rozboje... nieślubne dzieci. Mąż pije i maltretuje żonę, ta w ramach rewanżu przyprawia mu rogi. Człowieku, dokąd podążasz?! Jakie masz względem Boga plany?!

Proboszczowi najwidoczniej zaschło w gardle, gdyż poprosił ministranta, aby przyniósł mu szklankę wody. W kościele panowała cisza. Słyszeć było przelatujące muchy. Starcy drzemali w ostatnich ławach. Matki wycierały dzieciom zasmarkane nosy, spod których zwisały długie, soczyste gluty. Staruszki wpatrywały się w księdza jak w obrazek. Jedna z nich była głucha jak pień, druga – ślepawa. Pierwsza przyłożyła dłoń do ucha.

– Dobrze mówi – stwierdziła, chociaż słyszała co piąte słowo.

Druga, ta niedowidząca, wpatrywała się w kaznodzieję.

– Ależ on piękny, przystojny... – szeptała, patrząc na figurkę świętego Franciszka.

Proboszcz kontynuował kazanie w podobnym tonie jeszcze przez kwadrans. Grzmiał i umoralniał.

Po kazaniu krótkonogi Błażej capnął kobiałkę i zbierał datki. W ławkach zapanowało ożywienie. Mężczyźni przeglądali portfele; kobiety – portmonetki; natomiast dzieci wyciągały pieniądze z kieszeni. Zabrzęczały monety. Jedna ze staruszek łypnęła kaprawymi oczami dookoła i ostentacyjnie wrzuciła banknot o wysokim nominale do koszyczka. Tak, by wszyscy widzieli, jaka hojna z niej parafianka. Błażej kiwnął dwa razy głową w podzięcie i powtórzył trzy razy: „Bóg zapłać”.

Kiedy kościelny zakończył kolektę i przemykał do zakrystii, Kazimierz Srogi strzelił okiem na koszyczek. O mało nie dostał zeza. „Cieniutko. Nawet w połowie niewypełniony. Boże, co za skąpcy! Może rzuca więcej, jak wymłóca zboże?” – przemknęło mu przez głowę. Rozproszył się i przez roztargnienie, śpiewając aklamację wychwalającą Jahwe, pomylił się i wyrzucił z piersi: „Ale luje!”.

Msza dobiegła końca. Masa ludzka wylała się na dziedzińiec. Wierni łączyli się w grupki i rozpoczynali ożywione dyskusje. Starsi wymieniali grzecznościowe zwroty, pytali o zdrowie i rodzinę. Kobiety plotkowały; nastolatki chichotały; młodzieńcy palili papierosy, strzykali śliną i dowcipkowali. Większość komentowała słowa kazania. Domysłem nie było końca. Kogo kapłan miał na myśli, mówiąc o kradzieżach, waśniach i zdradach małżeńskich? Dzielono się opiniami, że proboszcz to dobry gospodarz, ale niepotrzebnie drażni parafian. Pomagają przy remontach i łożą finansowo na kościół. Nikomu się nie przelewa. Każdy ma własne problemy.

Matylda założyła dzisiaj zielony płaszcz z szarym kołnierzykiem i czarne trzewiki. Przystanąła pod lipą i zamieniła kilka zdawkowych zdań z koleżanką. Pogawędziły chwilę i skierowały się do domów. Ktoś przecież musi zadbać o przepastne żołądki członków rodziny.

12.

Na niedzielnym obiedzie w roli głównej wystąpił rosół z makaronem, potem schabowy z ziemniakami i kiszoną kapustą, a na deser kisiel. Na kości i podroby z zupy też nie brakowało amatorów. Przy stole wyczuwało się napięcie. Spożywający posiłek unikali nawzajem swojego wzroku i uparcie wpatrywali się w talerze. Rozmowa się nie kleiła. Żuli mięso, rozgryzali kości i wysysali z nich szpik. Gospodarz siedział w milczeniu, gospodyni była nieobecna duchem, dziewczyny zadumane, a Kacper przykucnął przy piecu i ogryzał kurzy szkielet.

Morus i Cezar ocierali się o nogi biesiadujących. Pies skomlał; kot pomrukiwał, wspinał się na tylne łapy i zaglądał do talerzy. Matylda upuściła na podłogę kość. Pies wyszczerzył kły, a kot nastroszył pazury. Zwierzęta mierzyły się wzrokiem. Morus pochwycił gnata i umknął na podwórce. Kot tylko na tym skorzystał, gdyż Ala rzuciła mu tłusty kawałek kotleta.

Po posiłku parobek umknął do stajni, a dziewczyny na górę.

– Idę do rodziców – zaczęła Matylda.

– Nie masz nic innego do roboty? Ciągnie cię do jędzowatej matki i równie wrednej siostry? Będziecie plotkowały całe popołudnie – pieklił się mąż.

– Co mam robić? Patrzeć na ciebie? Kto nam pomoże? Chyba nie twoja rodzina? – uderzyła w czuły punkt. – Rozglądnę się, popytam. Trzeba kisić kapustę. Może mają na zbyciu beczkę.

– Jedna nam nie wystarczy?

– Co się tak pieklisz? Nadchodzi zima? Kapusta obrodziła. Szkoda, żeby się zmarnowała.

– Daj mi parę złotych – zagadnął łagodnie.

– Po co ci? Na chłanie?!

– Na papierosy. Jak nie mam nic do roboty, to mnie nosi. Nie mogę usiedzieć na miejscu.

Matylda sięgnęła po portmonetkę.

– Masz dwadzieścia złotych i o więcej mnie nie prosź. Wszystko drożeje – odparła, podając mu banknot.

– Gdzie się podziały pieniądze za byczka?! Miałaś kupić meble! – wściekał się.

– Nawet nie wiem, kiedy się rozeszły. Nie masz pojęcia, ile kosztuje życie – tłumaczyła się pokrętnie. Pomyślała, że w przyszłym tygodniu kupi ławę i komplet krzeseł. W ten sposób zatka mu usta. Ech, ciężka jest dola kobiety. No bo jak tu wszystkim dogodzić?

– Dobrze, już dobrze – powiedział pojednawczo.

Ujął w dłoń łopatkę, otworzył drzwiczki pieca, nabrał żaru, przypalił papierosa i wyszedł na podwórze. Zaciągnął się z lubością dymem i wypuścił go nosem.

Rozejrzał się wokoło i westchnął. Zabudowania gospodarcze popadały w ruinę, licha ziemia wydawała nędzny plon. Znikąd wsparcia. Nikt nie zaszczyli go dobrym słowem. Nikt nie pożałuje. Matka żony i jej dzieci uważali go za niedorajdę. Nazywali go przybłędą, człowiekiem znikąd, mężczyzną bez

ikry. Kpili z niego, obgadywali, lżyli i rzucali kłody pod nogi. Sąsiedzi nie lepsi! Tylko teść powstrzymywał się od złośliwości.

Zdawał sobie sprawę ze swoich słabości, ale nie potrafił ich przewyciężyć. Czasami dokonywał w wyobraźni heroiczych czynów. Chciał przeciwstawić się rzeczywistości. Płynąć pod prąd. Zacząć wszystko od nowa. Czuł, że niewiele mu brakuje, ale to „niewiele” było nie do pokonania. Chował się w cieniu. Otaczał twardą skorupą. Ukrywał za pancerną tarczą. Udawał, że pewne rzeczy go nie dotyczą. Nieraz pragnął wyć z rozpacz. Wyżalić się komuś i wypłakać.

Pomyślał o przeszłości i zadrżał. Z zakamarków pamięci wyłaniała się zamazana sylwetka. Wizerunek przedzierał się przez niedostępne zapory, którymi go otoczył. Chciał o nim zapomnieć, wymazać ze świadomości, wydrzeć z duszy. Nie! Nikt nigdy nie może się o niej dowiedzieć! To byłby początek końca jego nędznego życia. Świadomość, że może zostać zdemaskowany, siała strach w jego sercu. Lęk się wzmagał. Obawy paraliżowały codzienne poczynania. Miał nadzieję, że ogniwa łączące go z przeszłością już dawno zostały zerwane.

Nie miał pojęcia, że wkrótce odezwią się demony z przeszłości.

13.

Ela siedziała przed lustrem i rozczesywała włosy. Kolorem przypominały dojrzały len. Złociste kosmyki – leciutkie jak puch – spływały na barki, rozdzielały się na okrągłościach ramion i otulały piersi.

Jej głos, sposób poruszania, jasnozielone oczy i harmonijne rysy twarzy upodabniały ją do bogini. Poruszała się lekko

i z gracją – jak księżniczka. Bił od niej wdzięk i powab. Była wyczulona na punkcie estetyki. Rozbudzała się w niej kobiecość. Zaczęła się już zastanawiać nad tym, jak postrzegają ją mężczyźni.

W lipcu poznała miłego chłopaka. Zenek przyjechał do babci na wakacje. Początkowo oczu nie mogła od niego odebrać. Smukły młodzieniec z lepszego świata; wysoki, delikatny na twarzy. Pomiedzy rozchylonymi wargami błyszcząły białe, zdrowe zęby. Miał świeży oddech i rozchodził się od niego dyskretny zapach wody kolońskiej. Miastowy, wygadany, taktowny. Artysta – malował pejzaże. Chodził do liceum plastycznego, a w niedługim czasie wybierał się na Akademię Sztuk Pięknych. Chłopak jawił jej się jako osobnik z wyższych sfer. Myślała o nim: „ktoś”.

Ona pędziła krowy na pastwisko, a on stał przy płocie w poplamionej farbami koszuli. W dłoniach trzymał paletę i pędzel. Pozdrawiał, zagadywał, uśmiechał się i taksował ją wzrokiem. Odpowiadała mu półgębkiem. On – człowiek z dużego miasta, a ona – zwykła wiejska dziewczyna, na dodatek w pomiętej sukience i wykoślawionych butach.

Zmieniła zwyczaje. Zaczęła myć się pachnącymi mydełkami, spryskiwała perfumami, zakładała czyste ciuchy. Nakładała cienie na powieki, kredką podkreślała brwi, a szminką malowała wargi. Była podlotkiem, ale wyglądała poważnie jak na swój wiek. Jej figura się zaokrągliła, przez co niektórzy myśleli, że jest dużo starsza.

Umawiali się na dyskretne spotkania. Udawali się do pobliskiego lasu. Nawiedzały ją mieszane uczucia. Z jednej strony doświadczała dreszczyku emocji, z drugiej – miała wrażenie, że się wygłupia. Nachodziły ją nedorzeczne myśli.

Jak się zachowa, gdy młodzieniec będzie próbował ją wykorzystać? Jej obawy okazały się bezpodstawne. Chłopak zachowywał się przyzwoicie. Spacerowali leśnymi duktami pod utworzonym przez korony drzew gęstym, zielonym baldachimem. Rozchodzące się w powietrzu upojne aromaty kwitnących lip, akacji i ziół upajały zmysły. Pszczoły zbierały nektar, ptaszki świergotały, przycupnąwszy na gałęziach drzew. Cudnie, bosko, romantycznie.

Początkowo czuła się skrępowana, bąkała coś pod nosem i nie wiedziała, co zrobić z rękoma. Rozmawiali na różne tematy. Na którymś ze spotkań Zenek zatrzymał się, położył dłonie na jej ramionach i głęboko spojrzał jej w oczy.

– Twoje rysy, włosy, postura... – wyliczał, wpatrując się w jej twarz.

Dziewczęce serce zabiło żwawiej. „Na pewno chce mnie pocałować” – pomyślała.

– Nie rozumiem? – powiedziała głośno.

– Pozwól uwiecznić się na płótnie. Wyobraźmy sobie taką scenkę – mówił z ożywieniem. – Gęsty dywan grążeli, zakrywający powierzchnię wody, i ty pośród sitowia, grzybieni, kaczeńców i lili wodnych, z rozpuszczonymi włosami. W stawku pływają łabędzie i cyranki. Wokół twej głowy fruwać kolorowe motyle i ważki. Złotowłosa rusałko, nimfo, najado, driado... – dodał podekscytowany. Widząc odmalowujące się na jej twarzy zaskoczenie, podrapał się po głowie. – Zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie nowość – tłumaczył się zakłopotany. – Jeżeli się wstydzisz pozowania topless, to sportretuję cię w ubraniu. Muszę jednak przyznać, że twoje starania o lepszy wygląd przynoszą efekt zgoła odmienny od oczekiwanego. Stroisz się, malujesz, przez co wyglądasz nie-

naturalnie. Sorry, ale tusz, puder, cienie, błyszczyk czy szminka nie pasują do ciebie. Musisz być autentyczna, to znaczy być prostą wiejską dziewczyną. Nastolatką pachnącą bieszczadzkiem wiatrem, sianem i mlekiem. Wiem, co mówię; znam się na tym – mówił ekspresywnie.

Ela była zawiedziona. Romantyczna schadzka zamieniła się w farsę. Z trudem powstrzymała się, aby nie potraktować młodzieńca szorstko. Co on sobie myśli?! Tylko dlatego się nią zainteresował?! Zaproponował jej namalowanie aktu. Ma nago pluskać się w stawie?

– Daj mi czas do namysłu. Jutro pogonię krowy na pastwisko. Czekaj na mnie przy płocie. Pokażesz mi swoje malowidła, rzucę na nie okiem i podejmę decyzję – powiedziała po chwili zastanowienia.

– Zrobię z ciebie gwiazdę! Zostaniesz sławną! Twoja podobizna wypełni najznakomitsze galerie! – kusił.

W nocy nie mogła zasnąć. Prośby Zenka wydały jej się sensowne. Rozpierała ją nawet duma, że młody artysta zwrócił na nią uwagę. Utrwali jej urodę na płótnie. W ten sposób jej młodzieńcza twarz zachowa się dla potomnych. Może nawet dla jej własnych dzieci.

Po niespokojnej nocy nadszedł ciepły ranek. Zapakowała do plecaka powróż, płaszcz, z którego wyrosła, poplamioną sukienkę, podarte pończochy, kolorową chustę i rozczłapanę trepy bez sznurowadeł.

Pędziła bydło na pastwisko. Towarzyszył jej Morus. Pierwsza szła Łaciata, za nią Krasula i byczek, a na końcu jałówka. Krowy machały ogonami, żeby odpędzić dokuczające im bąki. Na skraju ścieżki rosła tarnina, jałowce, brzoźki i olchy. Pomiedzy gałęziami rozpięte były pajęczyny. W kole-

inach pleniła się trawa, mlecz i stokrotki. Drapieżne odnogi jeżyn wpełzały na drózkę. W chaszczach przykucnęły zające, kuropatwy i bażanty, gdyż w powietrzu kołował jastrząb.

Zenek stał oparty o sztachety. W dłoniach trzymał aparat fotograficzny i pstrykał zdjęcia. Uśmiechnął się, pokiwał jej ręką, a ona odkrzyknęła, że za kwadrans będzie wracała tą samą drogą.

Z tyłu domku znajdowała się drewniana szopka, w której malarz urządził sobie atelier. To tam Zenek oddawał się twórczemu dziełu, dawał upust natchnieniu, puszczał wodze wyobraźni, a także doskonalił swój kunszt. Przy składziku rosła pochylona jabłoń, o którą oparta była drabina. Pień drzewa popękał, a kora pokryła się szarym nalotem.

Pod sufitem pomieszczenia dyndał metalowy kloz. Dodatkowo szopka doświetlona była naturalnym światłem wpadającym przez szybkę w daszku. W kantorku znajdowały się stojaki, sztalugi, rajzbret, blejtram, palety, pędzle, ołówki, szkice, potargane płótna i farby. Typowy twórczy bałagan. O ścianę opierał się obraz olejny oprawiony w ramkę. Pejzaż przedstawiał pochyloną nad brzegiem strumyka płaczącą wierzbę.

– Usiądź – wskazał jej krzesło, gdy weszła do środka. – Dobrze się składa, gdyż babcia niedomaga, leży w łóżku i nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Ela milczała. Serce waliło jej jak kowalskim młotem, policzki gorzały, a wargi drgały. Nie wiedziała, co zrobić z dłońmi.

Zenek pokazał jej obrazy. W większości wiejskie widoczki. Jedno z malowideł przedstawiało pasiekę ustawioną między pokrytymi różowym kwiatostanem wiśniami.

– Ładne. Super. W jakiej przestrzeni chciałbyś mnie umieścić? – zapytała drżącym głosem.

– W rustykalnej scenie, na przykład jak pasiesz krowy, chyba żebyś się odważyła...? – zawiesił głos. Odsunął się od niej i oceniał wzrokiem. – Jesteś piękna. Delikatna twarz, regularne rysy i karminowe usta. Rozpuścisz złociste włosy, rozepniesz koszulę i odkryjesz ramiona. Odślonisz na chwilę dziewicze piersi, zrobię szkic i po sprawie. Dla mnie jest ważny najmniejszy szczegół. Pieprzyk, znamię, barwa skóry, kolor sutka... Nie obawiaj się, nawet cię nie dotknę – dodał, widząc jej wahanie.

Zarumieniona Ela, potakująco kiwnęła głową.

– Zgoda, ale stawiam warunki. Pełna dyskrecja. Będę pozowała tylko w pracowni, nikomu nic nie powiesz i żądam, abys podarował mi moją podobiznę. Może być malutki, tyci, tyci portrecik – pokazała dwa rozwarte palce.

– Umowa stoi. Więc pokażesz cycuszki? – pragnął się upewnić. – Chyba coś tam masz, bo przez koszulę widać uwypuklenia – dodał z uśmiechem.

Przebrała się w przyniesione ubranie, zawiązała chustę pod brodą, włożyła na nogi wykoślawione buty i przepasała się powozem. W dłoni trzymała kostur. Zenek aż gwizdnął z zachwyty.

– Idealnie! O to mi chodziło! Pozwolisz, że pstryknę kilka fotek?

Przez dwa tygodnie w pełnej konspiracji wykonywała zawód modelki. Robiła to zazwyczaj rano, gdy wracała z pastwiska. Czasami wpadała do pracowni także wieczorem, kiedy szła po bydło. W domu tłumaczyła się pokrętnie, że spacerowała po lesie, sprawdzając, czy pokazały się grzyby. Matka

patrzyła na nią podejrzliwie i furczała: „Robota czeka, a ty rozglądasz się za muchomorami”.

Zenek robił mnóstwo zdjęć i szkiców. Maczał pędzel w farbach i nanosił na płótno kolejne warstwy. Z obrazu wyłaniała się postać dziewczyny z rozpuszczonymi włosami.

Z początkiem sierpnia młodzieniec zwinął szpargały, wsiadł do samochodu i opuścił Łazy. Wyjechał do domu. Wzywały go pilne sprawy. Obiecał Eli, że zjawi się u niej, gdy tylko ukończy obrazy.

Minęło lato. Nadeszła jesień, a jego jak nie było, tak nie ma.

Czesła gęstwinę włosów. Jej myśli krążyły daleko poza horyzontem wyobrażeń. W jej duszy budziły się skrywane tęsknoty. Zazdrościła ptakom, które przemierzały się w przestworzach. Zadawała sobie pytanie: dokąd lecą i dlaczego uparcie powracają do uwitego przez siebie gniazdko?

Miłość, pożądanie, fascynacja cielesna. Chyba jest jeszcze za młoda, aby rozumieć te pojęcia. Nigdy się nie całowała, pieściła i nie przytulała do męskiego torsu. Zastanawiała się, jak to jest: przyssać się do ust kochanka i nie móc się od nich oderwać. Spijać nektar z warg? Dotykać, głaskać... całować? Wzdychać za kimś, tęsknić... kochać do szaleństwa? Do utraty tchu. W jej młodzieńczym mniemaniu miłość była świętością. Przynęła sobie solennie, że związek małżeński będzie traktowała poważnie. Przysięga przed ołtarzem zobowiąże ją do wierności. Nie opuści wybranka serca w chorobie. Nie porzuci, choćby nie wiem co się działo. Będzie cierpliwa i oddana. Na dobre i złe. Aż do śmierci.

Postanowiła, że poczeka cierpliwie na tego, który pierwszy rozpali w jej ciele płomień namiętności. Pozwoli się unieść

fali odurzenia. Upije błogością. Strawi ją żar rozkoszy. Zatrąci się w ekstazie aż do utraty tchu.

Siedziała przy toaletce. Mebel był wyposażony w trzy lustra. Jedno duże centralne i dwa mniejsze. Bocznymi skrzydłami można było sterować i ustawiać je pod dowolnym kątem.

Jasnozielone oczy błyszcząły jak agaty. Przekręcała głowę to w jedną, to w drugą stronę; potrząsała bujnymi włosami; oceniała samą siebie. Czy to prawda, że ma niepowtarzalny typ urody, jak przekonywał ją Zenek? Czy spodobała się młodzieńcowi? Miała wątpliwości, gdyż chłopak nawet jej nie dotknął, nie uszczypnął i nie zaproponował niczego nieprzyzwoitego. Nawet oczy mu nie błyszcząły. Paradowanie bez odzieży w jego obecności nie należało jednak do najprzyjemniejszych. Początkowo się krępowała. Stała przed malarzem, tak jak stworzyła ją natura, a on pstrykał fotki i szkicował. Pewnie już mu spowszechniały gołe niewiasty. Ot, nieczuły na kobiece wdzięki artysta.

14.

Zrobiło się szaro i ponuro. Chmury nasiąkły wilgocią. Lało całymi dniami. Murawa zmieniła się w grzęzawisko. Ludzie brodzili po kostki w błocie. Rodzina Grelów zwoziła do domu rzepę, kapustę i kukurydzę. Pewnego dnia wóz utknął w błocie i gospodarz musiał skorzystać z pomocy traktora.

W sobotę po południu Matylda zarządziła szatkowanie kapusty. Tym razem nikt się nie wywinął. Nawet Ala wcześniej wróciła z pracy. Domowników wspomagała siostra gospodyni – Dorota – i Hanka Worek z synem Mateuszem.

Stół powędrował pod ścianę, na środku kuchni rozłożono płachtę; Kacper wtoczył do kuchni puste beczki, gospodarz przyniósł szatkownicę. Kobiety usiadły na ławie i obierały dorodne głowy ze zwiędłych liści. Potem z trzaskiem wykrawały nożem twarde środki. Heniek szatkował kapustę, Kacper wrzucał do beczki pocięte kawałki, a Mateusz deptał. Chłopak najpierw długo moczył stopy w gorącej wodzie. Nie obyło się także bez dokładnego obcięcia paznokci. To bowiem w bosych i solidnie wyszorowanych nogach tkwiła tajemnica kapuścianego smaku. Kobiety wiedziały, że nie zastąpią ich żadne tłuczki ani drewniane ubijaki.

Ala z Elą tarły marchewkę, ćwiartowały czerwone buraczki i wnosiły z kuchni zwiotczałe liście i głąby. Nadzór nad całością przedsięwzięcia sprawowała Matylda. Gospodyni raz po raz podnosiła się z ławy i wsypywała na poszatkowane warstwy warzyw garść soli. Aby kapusta nabrała wykwintnego smaku, dodawała jabłka, czerwone buraczki, marchew, kminek, koper, nasiona jałowca i cebulę.

Robota szła pełną parą. Ogień wesoło buzował w piecu. Na rozpalonym blacie stał czterolitrowy czajnik i wesoło pogwizdywał. Pomieszczenie wypełnił gwar jak w ulu.

Dorota przyniosła sporo nowinek. Ten umarł, tamten się ożenił, jeszcze inny pobił się z kumplem o dziewczynę. Było z niej wścibskie babsko. Na dodatek miała cięty język. Nikomu nie przepuściła. Nawet Kazimierzowi Srogiemu dostało się za swoje.

– Proboszcz szuka młodszej gospodyni – powiedziała z chytrym uśmieszkiem.

– Janka Fiołek już mu nie pasuje? Pewnie dla niego za stara? Naje się taki, napije mszalnego wina i wodzi maślanymi

oczami po niewieścich zadkach. Młódki mu się zachciewa. Innych poucza, a sam nie lepszy! – wtórowała jej Hanka.

– Walaskom krowę ukradli z pastwiska!

– Dranie! Uciąć takim przyrodzenia! Kiedy? – zapytała Matylda.

– W czwartek. Mieszkasz na zadupiu, nie masz telewizora, to nie dziwota, że nie wiesz, co się dzieje w świecie.

– Nie bądź taka mądra! Haruję od świtu do nocy, mam dom na głowie, a ty uczepiłaś się matczynej spódnicy i zgrywasz wielką panią – odgryzła się siostrze.

Dorota zignorowała jej uszczypliwą uwagę.

– Mąż Tośki Rozmus wyjechał do Ameryki, a ta przygruchała sobie artylerzystę. Przyjeżdża po nią trabantem i wozi do lasu. Pewnie ją szkoli, jak się wkłada nabój w komorę albo jak się czyści lufę wyciorem. Ha, ha, ha! Niech skonam! Wspomnicie moje słowa, za dziewięć miesięcy będzie chodziła z brzuszyskiem, a chłoptaś się ulotni – zarżała jak stara kobyła.

– Nie kpij! Spójrz na tę kwestię z innej strony. Weźmie jeden z drugim dupę w troki, wyjedzie na kilka lat, zostawi kobietę samą, a ta musi sobie radzić. A co to głąz? Skała? Przecież to istota z krwi i kości. Ma duszę i ciało. Krew nie woda. Niewiasty też mają swoje potrzeby. Mężczyznom wszystko wolno. Wielcy panowie, chwalidupy, gamonie! Robią skok w bok, łajdaczą się, używają życia i jeszcze się tym pyszną, a jak coś się przytrafi kobiecie, gotowi są zabić – mówiła z wypiekami na twarzy Hanka.

Matylda udawała, że szuka czegoś w kredensie. W czasie rozmów o niewierności małżeńskiej czuła się niekomfortowo. Miała wyrzuty sumienia i wytykała sobie, że jest słaba. Co

rusz ostrzegał ją wewnętrzny głos: „Bezwstydnico! Zdeprawowana niewiasto! Nie cudzołóż! Zejdź z drogi rozwiąłości! Niewierność kiedyś cię zgubi. Będiesz smażyła się w piekle!”.

Po chwili rozmowa zesła na inny temat.

Ała odlała nadmiar soku z beczki, gdyż Mateusz narzekał, że woda z solą szczypie go w nogi. Heniek zapamiętał szatkował kapustę, a pracował tak intensywnie, że poczerwieniał na twarzy, a pot strumieniami lał mu się po plecach. Kacper włożył na nogi drewniane trepy i swoim zwyczajem podwinął nogawki. Przynosił kapustę z podwórza w wiklinowym koszu.

Hanka ukradkiem spoglądała na parobka. Za każdym razem, gdy ich oczy się spotkały, lica kobiety oblewał rumieniec. Wydawało im się, że nikt tego nie zauważył, ale byli w błędzie. Ela utwierdziła się w przekonaniu, że mężczyzna jest skaczącym z kwiatka na kwiatek oportunistą.

Serce Matyldy biło niespokojnie, w duszy pojawił się niepokój. „Szmata. Zdzira. Zmizerniała wdowa. Chucherko. Co on w niej widzi? Błada na twarzy, obwisłe cycki, ciemne podkowy pod oczami. Jest wolna i to jest jej atutem” – zadreśla się w myślach.

– Dość! Wystarczy! Odpoczynek! – krzyknęła. Pierwsza beczka była wypełniona w trzech czwartych. – Kapusta zwiększa objętość podczas fermentacji – powiedziała ze znanstwem. Na górną warstwę nałożyła liście, następnie deskę z otworami, a wszystko obciążyła wyszorowanym kamieniem.

– Wytocz ją do sieni! – warknęła do Kacpra. – Zarządzam przerwę. Przekąsimy co nieco. Dziewczyny, odgrzewajcie

jedzenie! No już! Ruszajcie się! Raz, dwa, trzy! – Klasnęła w dłoń.

Gospodarz z Mateuszem wynieśli na środek kuchni stół. Ala z Elą uprzątnęły bałagan, przetrwały mebel i nakryły ceratą. Na stole pojawił się porcelanowy dzbanek z herbatą, waza parującego gulaszu, kiełbasa na gorąco i pajdy chleba.

Na przysuniętej do stołu ławie usadowiły się kobiety. Mateusz grzał nogi przy piecu, Kacper przykucnął w kąciu. Gospodarz otarł spocone czoło, zapalił papierosa i udał się do spiżarni. Heniek przyniósł z komórki flaszkę bimbru i poczęstował niewiasty. Wypiły po kieliszku. Krzywiły się przy tym i chuchały wymownie.

– Mocne! Pewnie pędziłeś okowitę przy pełni księżyca – zaskrzeczała Dorota.

– Zalutuje drożdżami. Oczy mi wyszły na wierzch. Nie częstuj Mateusza! To jeszcze dziecko – wrzasnęła Hanka, widząc, jak Grela podaje kieliszek jej synowi.

– Nie przesadzaj, mamó! Nie traktuj mnie jak malca. Polej, pan, kapinkę. Zaschło mi w gardło – poprosił młodzieniec.

Matka skarciła go wzrokiem.

– Zuch małolat! Niech odkazi przełyk. Pani Haniu, jednego. Dla kurażu – gospodarz wymownie spojrzał na kobietę.

– Jednego i ani kropelki więcej! Chcesz skończyć jak ojciec...? – strofowała syna. – Lepiej polej Kacprowi. Ma pusty kieliszek.

„Wypłowiwała suka. Patrzcie, jak się o niego troszczy! Rządzi się jak w swoim domu” – pomyślała Matylda.

– Niech chłopcy chleją śmierdzący samogon. My napijemy się czegoś łagodniejszego – powiedziała gospodyni, po czym wyciągnęła z kredensu butelkę likieru.

Zamilkli na chwilę. Jedli pikantny gulasz i zagryzali chlebem. Grela nałożył na talerzyk dwa serdelki, dołożył tartego chrzanu i kiszzonego ogórka. Rozkoszował się każdym gryzem i niecierpliwie połykał nieprzeżute kęsy. Tłuszcz spływał mu po podbródku i skapywał na koszulę. Kacper nabrał chochelką gulaszu, usiadł na stołeczku z miską na kolanach i jadł tak łapczywie, że aż mu uszy się trzęsły. Gdy skończył, wytarł pajdą chleba resztki sosu i uczynił znak krzyża na czole.

Mateusz rusztował palenisko, tak że został tylko żar. Dorzucił kilka szczap i zamknął drzwiczki.

Przerwa się przedłużała. Brzęczało szkło o szkło. Kobiety piły kieliszek za kieliszkiem – posmakowała im słodka wódka. Mężczyźni nie pozostawali w tyle. Mateusz wypił nie o jeden, ale pewnie ze trzy kieliszki za dużo, bo oczy świeciły mu się jak kotu w nocy.

Niewiasty nachyliły się ku sobie i jazgotały. Co rusz zanośiły się śmiechem. Prym wiodła Dorota, która opowiadała tak sprośne kawały, że młode Grelówny wstydliwie odwracały głowy.

– Zbierałam latem maliny w lesie. Patrę, a tu maszeruje gajowy. Hycnęłam za drzewo. Przykucnęłam za sosną i obserwuję. Leśnik rozejrzał się wokoło, rozpiął rozporek, wyciągnął fiuta i odlał się na paprotki. Wyteżyłam wzrok, aby dojrzeć ptaszka. Myślałam, że ujrzę dziecięcia, ale była to tylko sikorka. Nie mogłam uwierzyć. Tyci, tyci, malutki jak paluszek. Pędrak, co ja mówię – glista. Jak to można się pomylić? Kawał chłopca, a przyrodzenie jak u niemowlaka. Współczuję gajowej. Pewnie korzysta z usług leśniczego – zaniósła się śmiechem. – Posłuchajcie rady doświadczonej kobiety – zwróciła się do dziewczyn. – Zanim staniecie na ślubnym

kobiercu, sprawdźcie, co wybranek chowa w gaciach. Przetestujcie samca, żeby potem nie spotkała was przykra niespodzianka.

Wszyscy jak jeden mąż parsknęli śmiechem. Mateusz o mało nie udławił się kawałkiem pieczywa. Kacper podszedł do stołu i sięgnął po ostatnie pętko kielbasy. Rozochociona Dorota złapała go za nogawkę spodni.

– Pochwal się, co chowasz w portkach. Po wsi krążą historyjki na twój temat. Nie przepuścisz wdowie, rozwódce ani samotnej niewieście. Zajrzyj kiedyś też do mnie – rzuciła, szczerząc żółte zęby.

Mężczyzna oblał się rumieńcem. Sercami pozostałych dwóch kobiet szarpnęła zazdrość.

– Dowcipnisia się znalazła! – wyrwało się Matyldzie. – Koniec przerwy! Do roboty! Daj chłopu spokój, bo powiem twojemu. Już on wybije ci głupoty z pustej makówki.

– Patrzcie ją! Pożartować nie można? Zazdrośnica. Chciałabyś mieć wszystkich dla siebie – syknęła Dorota.

– Przynieś dwa kosze kapusty i bierz się za obrządek – zwróciła się do Kacpra Matylda. Doszła do wniosku, że lepiej trzymać mężczyznę z dala od podpitych kobiet. Jeszcze go któraś zaciągnie do stodoły, a tego by nie zniosła. – Zagoń drób do kurnika i wydój krowy! – zaordynowała młodszej córce.

– Sypnij koniom owsa! – krzyknął jeszcze za parobkiem Heniek.

Eli nie było w smak polecenie matki. Spodobały jej się anegdoty ciotki i żałowała, że ominie ją reszta rozmowy.

Szatkowanie skończyło się przed północą. Może udałoby im się uwinąć z pracą szybciej, gdyby nie to, że Grela przyciął

sobie palec. Na koniec w korytarzu pod ścianą stały dwie beczki i kamionka udeptanej kapusty. Kiedy się ukisi, wykorzystyła się ją na surówki, bigos, łazanki i krokiety. Kilka do-rodnych główek Matylda zostawiła na gołąbki.

Hanka z Mateuszem zaraz po skończonej pracy opuścili chałupę. Dorota marudziła, ale widząc, że nikt jej już nie słu-cha, złapała za rower i pojechała do domu. Było ciemno i śli-sko, wciąż padało. Koła bicykla zapadały się w błoto. Zanim kobiecina dotarła do celu, dwa razy wylądowała w rowie.

Deszcz zacinał w szyby; wiatr kołysał gałęziami drzew. Gdzieś zahukał puchacz, któremu po chwili odpowiedział lelek; w oddali zawył pies. Nadeszła pora, by udać się do łó-żek, przyłożyć głowę do poduszki i zasnąć. A z tym zmęczeni mieszkańcy drewnianego domku nie mieli najmniejszych problemów.

15.

Matylda snuła się z kąta w kąt. Wszystko ją drażniło. Niech to szlag trafi! Nawet parobek jej nie szanuje. Mąż nie lepszy. Kiedyś to podszedł, klepnął w pośladek, uszczypnął, objął w pasie czy szepnął miłe słówko. Teraz? Szkoda gadać.

Przy stanach melancholii nachodziły ją tęsknoty. Miewała niedosyt wrażeń. Pragnęła przeżyć coś niezwykłego. Potrze-bowała odrobiny szaleństwa. Uważała, że nikt jej nie rozu-mie; nikt nie zna jej potrzeb. Niewdzięcznicy! Prostacy! Ego-istyczne samce! Rzuci kiedyś to wszystko w diabły i pójdzie, gdzie ją oczy poniosą. Ucieknij stąd na kraniec świata. Może tam odnajdzie szczęście, o którym marzyła.

Pewnego dnia mąż pojechał do GS-u po opał; Ela była w szkole, a Ala w pracy. Matylda poszła do obory napoić cielaka. W pomieszczeniu natknęła się na Kacpra.

– O co chodzi? – zapytał ją wprost.

– Odczep się! – odburknęła, udając obrażoną.

– Twoje milczenie jest gorsze niż chłosta.

– Odwal się!

– Widzę, że już ci nie jestem potrzebny.

– Zatkaj się! Nie jestem twoją własnością – przerwała mu brutalnie.

Zacisnęła wargi i zazgrzytał zębami.

– Latasz jak kot z przeziębionym pęcherzem do Hanki, Stefki i do Weroniki.

– Kto ci nagadał takich bzdur? Pewnie siostra albo twój przydupas. To ty nie jesteś w porządku. Myślisz, że nie wiem, że obściskiwałaś się z sołtysem?!

Przyjmowała z bólem jego gorzkie słowa. Dławiła się nimi; czuła się tak, jakby ości wbijały się w jej gardło. Pomimo oskarżeń poczuła się lepiej, gdyż doszła do wniosku, że Kacper jest o nią zazdrosny.

– Nie twoja sprawa. Zwodziłeś mnie, mamileś, kusileś, szeptałeś miłe słówka. Otumanileś i przywiodłeś do grzechu. Odczep się od mojego męża! Heniek mnie przynajmniej szanuje i nigdy nie powiedział mi złego słowa.

– Codziennie słyszę te komplementy, te peany na twoją cześć. Wzięłaś sobie za męża dziada i tyle. Poniewiera tobą – powiedział zjadliwie. – Tylko ja cię szanuję, uwielbiam... – wyszeptał.

Serce Matyldy zmiękło.

– Powiedz mi, po coś goił do Hanki?!

– Mateusz był w szkole, a do cielnej jałówki przyjechał weterynarz. Kobięcina sama nie dałaby rady, więc poprosiła mnie o pomoc.

„Tylko tyle. Czyżbym się myliła? Zaślepia mnie zazdrość”. Zerknęła w stronę bramy. Nikogo. Taka okazja mogła się już nie powtórzyć. Podeszła do Kacpra i pogłaskała go po głowie.

– Powiedz mi, czy jestem ładna? Czy ci się podobam?

– Jesteś przepiękna! Gdzież tam innym do ciebie! – zachwalał.

– Bolał mnie plecy, a ty tak wspianiale masujesz...

Odwróciła się tyłem do mężczyzny, a on wsunął rękę pod jej podkoszulek.

– Jeszcze, jeszcze, wyżej – szeptała. Ogarniały ją płomie-
nie pożądania. Traciła zmysły. – Poczekaj. Nie tak szybko –
wydusiła z siebie.

Przeciągnęła dwie wiązki słomy pod drzwi, położyła się na brzuchu i zerknęła na drogę. Kacper ściągnął jej buty, całował stopy, kąsał kostki i przesuwiał się ku górze.

– Cudownie... Bosko... Jeszcze... – mówiła rozgorączko-
wanym głosem.

Ciśnienie podskoczyło; żyły nabrzmiały; w głowie pulso-
wało. Oboje skomleli, dając upust emocjom. Rozkosz miesza-
ła się z szokiem.

– To niesamowite! Boże, co to było?! Co ty ze mną wy-
prawiasz?! – krzyknęła. Wbiła paznokcie w szyję mężczyzny
i wyprężyła ciało niczym strunę.

Nastąpiła erupcja wulkanu. Ten krótki stan upojenia ducha
i ciała był najprzyjemniejszym ze wszystkich odczuć. „Zdra-
da. Niewierność. Cudzołóstwo. Będziesz przekłeta! Zejdź

z drogi rozpusty, bo skończysz marnie!” – nawoływał jednak głos rozsądku.

Niestety na refleksję było już za późno.